

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 16 kwietnia 1910. Nr. 16.

Katastrofa automobilowa w Wiedniu.

(Treść na str. 2).



Następny (17) numer „Nowości illustrowanych“ będzie w całości poświęcony

WIELKIEMU KRAKOWOWI

i zawierać będzie przeszło 150 interesujących illustracyj.

Numer ten ukaże się w zwykłym czasie, to jest w najbliższy czwartek z datą 23 kwietnia.

Katastrofa automobilowa w Wiedniu.

(Do illustracyi tytułowej)

Z biegiem czasu automobile coraz bardziej wypierają konkurencyę wozową, a nawet podejmują zwycięską rywalizacyę z kolejami. W Ameryce automobile stały się już nieodzownym sprzętem każdego większego przedsiębiorstwa, a powoli nawet farmerzy zarzucają konie i wozy i tak do przewożenia swych plonów, jak i do przebywania olbrzymich przestrzeni, oddzielających ich gospodarstwa od miast i centrów zbytu, używają automobili. W Europie do dziś jeszcze wóz motorowy uważanym jest nie za ekonomiczny, lecz za zbytkowny środek przewozowy i komunikacyjny. Do niedawna jeszcze posiadanie automobilu należało do dobrego tonu. Powoli ten stan rzeczy zmienia się na lepsze. Już dziś można spotkać automobile ciężarowe w większych przedsiębiorstwach przemysłowych, a nie rzadko i w służbie publicznej, jak przy straży pożarnej, urzędach czyszczenia miast i t. d. Mimo wszystko przeważa jeszcze typ automobili luksusowych, trzymanych przez bogatych ludzi dla zadawania szyku.

Ta okoliczność, że automobile wciąż są jeszcze uważane przez ogół za zbytkowny środek komunikacyjny, w niemałym stopniu przyczynia się do tego, że jazda automobilem obfituje w tak częste nieszczęśliwe wypadki i katastrofy. Do szyku należy nietylko trzymanie automobilu, ale i nadzwyczaj szybka jazda, która później czy prędzej, przy znanej wąskości naszych dróg i znanej nieostrożności szoferów, musi wywołać jakąś katastrofę.

O jednym z takich wypadków doniosły ostatnie pisma wiedeńskie. Do Wiednia przybył automobilem fabrykant Rödling z Berlina. Podczas kiedy pan zajęty był w stolicy naddunajskiej rozmaitymi interesami, szofer jego postanowił sobie urządzić paradę automobilową po stolicy i jej okolicy. By jednak ta parada miała tem większy urok, zaprosił na wycieczkę 3 kelnerki z jednej restauracyi, oraz jakiegoś mechanika. Całe to dobrane i wesołe towarzystwo puściło się za miasto. Szofer, jak wszyscy kierownicy automobilowi, zbyt pewny siebie, puścił wóz z całą szybkością. Niestety ta waryacka jazda skończyła się — jak to było do przewidzenia — bardzo smutno. Wóz wpadł na skręcie, którego szofer nie dowidział, na baryerę przydrożną, a jadący skutkiem tego uderzenia zostali z wozu wyrzuceni. Dwoje z jadących poniosło śmierć na miejscu, dwoje ciężkie obrażenia. Automobil został zupełnie rozbity. Winny szofer, który wyszedł z wypadku prawie cudem cało, został natychmiast uwięziony.



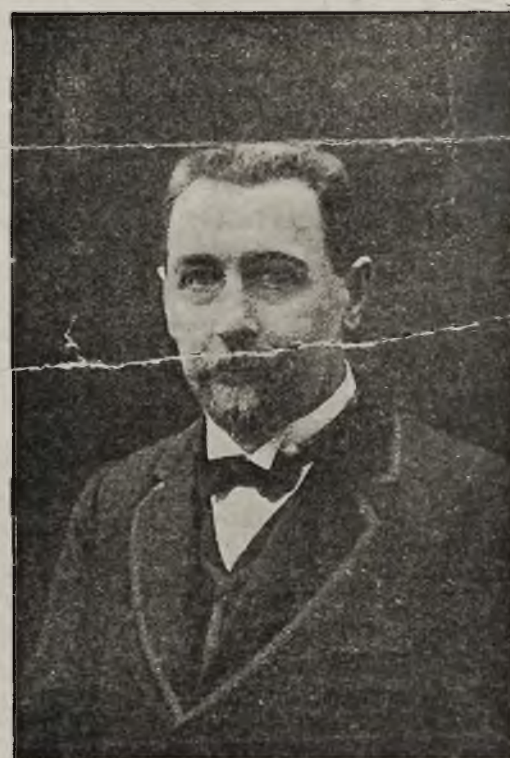
U stóp Etny: Lawa płynąca w kierunku Nicolosi.

U stóp Etny.

Położenie na stokach Etny staje się z każdym dniem coraz krytyczniejsze, bo czynność wulkanu, aczkolwiek nie wzmaga się, jednak nie maleje, a lawa zalewa coraz to nowe tereny, szerząc naokół zniszczenie i spustoszenie.

I tak przed paru dniami wioska Cavaliero, złożona z 50 domów, padła ofiarą nieokiełzanego żywiołu, została zalana potokiem lawy, która zniszczyła mienie i dobrobyt kilkudziesięciu rodzin. Mieszkańcy zaledwie zdołali ujść z życiem, a pola uprawne zalała gorąca lawa, nie pozwalająca zbliżyć się do siebie choćby na kilkanaście kroków.

Obecnie, jak donoszą depesze, potok lawy rozdzielił się na dwie części, z których jedna płynie



Doniosły wynalazek: Dr. medycyny Doyen.



U stóp Etny: Strumień lawy płynący w kierunku Cisterna Bianca.



U stóp Etny: Mieszkańcy wioski San Leo, modlący się o ratunek wobec zbliżającej się katastrofy.

w kierunku Cisterna Bianca a druga w kierunku Palmento Bianca. Nicolosi i Belpasso są zaledwie jeszcze o parę kilometrów oddalone od potoków lawy, prących w kierunku obu tych miejscowości. Ludność jest, ma się rozumieć, przygotowana do opuszczenia swych domostw każdej chwili. Wielkie spakowane wozy stoją dniem i nocą gotowe do przeniesienia mienia i ruchomości mieszkańców do mniej zagrożonych miejscowości, położonych na wybrzeżu.

Jedynym człowiekiem, który jak żołnierz nie opuszcza swego ważnego a niebezpiecznego posterunku, jest dyrektor obserwatoryum na Etnie, prof. Ricco. Nie zważając na bliskie niebezpieczeństwo, na gęste chmury spadającego popiołu i kamieni, przeprowadza prof. Ricco badania nad czynnością wewnętrzną wulkanu, co więcej, w spokojniejszych chwilach opuszcza on nawet obserwatoryum, by przez wysłuchiwanie, badać rozwój wewnętrznej empcyi i szmerów podziemnych. Podczas jednej z tych naukowych wycieczek, popadł prof. Ricco, zapuściwszy się za daleko, w poważne i groźne niebezpieczeństwo, z którego jedynie z trudem zdołał się wyratować.

Hotele w Catanii i Taorminie przepełnione są przez licznych cudzoziemców, którzy z różnych stron Europy zjechali na Sycylię, by przyglądnąć się temu niezwykłemu zjawisku, ogniem ziejącej górze.



U stóp Etny: Dom otoczony przez lawę.

Nowy premier gabinetu włoskiego.

Sonnino ustąpił, bo, jak wiadomo, nie umiał zręcznie lawirować między poszczególnemi towarzystwami żeglugi handlowej, których Włochy tyle mają, ile portów, a z których każde stara się różnemi, zakulisowemi drogami o jak największe poparcie rządu. Ten, z natury rzeczy wynikający antagonizm towarzystw, mających pozornie jeden i ten sam cel, spowodował już upadek niejednego gabinetu we Włoszech, bo najtrudniejszą rzeczą jest zręcznie lawirować tam, gdzie krzyżują się osobiste wpływy, prawie że połowy posłów włoskich, których mandaty w wielkim stopniu zależne są od przeprowadzenia u rządu postulatów towarzystwa żeglugi.

Po Sonninie, ster rządów objął Luzatti. Ma on za sobą tradycyę doświadczonego polityka, a równocześnie cieszy się w kołach uczonych, sławą pierwszego ekonomisty i finansisty. Urodzony w r. 1841 w Wenecyi, poświęcił się naukom społecznym od wczesnej młodości, wkrótce zajął w świecie naukowym wybitne stanowisko.

Pod względem polityki wewnętrznej i zewnętrznej, nowy gabinet niczem nie będzie się różnił od gabinetu poprzedniego.

Nowy minister spraw zagranicznych, markiz di San Giuliano, odpowiedzialny za politykę zagraniczną, jest wprawdzie zdeklarowanym sympatykiem Anglii i Francyi, mimo to zapowiedział on, że od polityki trójprzymierza nie myśli wcale odstąpić.

Obok zamieszczamy fotografię nowego premiera Ludwika Luzattiego.

Turnieje kawalerzystów angielskich.

Zarząd armii angielskiej nie ustaje w staraniach, by kawaleryę swą postawić na wyżynie ciążącego na niej odpowiedzialnego zadania. Anglicy znani są na całym świecie jako jedni z najlepszych jeźdźców i kawalerya angielska słusznie też uważana jest za jedną z najlepszych na świecie.

Zdaje się rzeczą niezrozumiałą, że Anglia, jako państwo morskie, tak wielką wagę przykłada do postawienia swej kawaleryi na pierwszorzędnej stopie. Cała potęga Wielkiej Brytanii polega na olbrzymiej flocie wojennej, z którą żadna inna na świecie nawet równać się nie może. Mimo to Anglia nie zapomina o obowiązkach względem swych wojsk kontynentalnych, licząc się z tą ewentualnością, że może kiedyś znaleść się w tem położeniu, iż będzie musiała prowadzić wojnę lądową. Mimo oficyalnych zaprzeczeń, stosunki angielsko niemieckie a szczególnie zbrojenia i przyspieszona budowa floty niemieckiej, dają bardzo dużo do myślenia, a Anglia na wypadek wojny z Niemcami musi prócz przewagi flotowej rozporządzać także doskonałą armią lądową.

Ostatnimi czasy wprowadzono w kawaleryi angielskiej walki turniejowe kawalerzystów. Jest to nowy sposób ćwiczenia i zaprawiania kawalerzystów do walki w pojedynkę białą bronią, gdyż w służbie rekonesansowej, do której przeważnie kawalerya jest używaną, dość często przychodzi kawalerzyście spotykać się z nieprzyjacielem-kawalerzystą.

Illustracya nasza przedstawia właśnie taki turniej dwu kawalerzystów angielskich, z których jeden atakuje lancą, a drugi broni się pałaszem.



Podróże Roosevelta: Roosevelt w powrocie z wyprawy myśliwskiej w głąb Afryki.

Doniosły wynalazek.

Jedną z najcięższych słabości, które pomimo niebywałego rozwoju sztuki lekarskiej, do dnia dzisiejszego uznane są za nieuleczalne, należy rak. Niejednokrotnie próbowali lekarze różnych środków na zwalczenie tego strasznego wroga ludzkości, wszystkie jednak okazały się problematycznymi i równie prędko je zarzucono, jak się pojawiały. Taki los spotkał ową słynną „kankroinę“ profesora Adamkiewicza z Krakowa, która swojego czasu tyle hałasu narobiła w sferach lekarskich.

— Obecnie ogłasza paryski lekarz dr. Doyen nową metodę leczenia raka, opartą na długiem doświadczeniu i jak sam przynajmniej oświadcza, skuteczną. Polega ona na nagrzewaniu chorego miejsca często przerywanym prądem elektrycznym, tak zwanym Texli. Pod jego wpływem komórka rakowata zamiera już przy 50—55° Celzyusza. Jeżeli tkanka ta



Powrót wojsk rosyjskich z Persyi: Oddział rosyjski w pochodzie ku granicom bucharskim.

znajduje się wewnątrz organów ciała, oddziela się ją od zdrowych zapomocą zabiegu operacyjnego, poczem zdrową tkankę nagrzewa się znów prądem Texli i usuwa w ten sposób możliwość dalszego postępu choroby.

jednak, że porzuci chirurgię i nie będzie odwiedzał szpitali. Dr. Doyen nie zgodził się na to, był bowiem przeświadczony, że tylko na żywych chorych można zbadać przyczyny zaraźliwych chorób. Tak przestudyował po kolei wszystkie choroby infekcyjne i po-

mieccy i austryaccy nie wierzą, twierdząc, że jak poprzednie tak i obecnie nie mają naukowej wartości.

Pożądanem byłoby ze względu na dobro ludzkości, by pesymistyczne te głosy nie sprawdziły się, a metoda dra Doyena okazała się skuteczną,



U stóp Etny: Zniszczone przez lawę domy w Belpasso.



U stóp Etny: Mieszkańcy San Leo, modlący się przed statuą św. Józefa w obawie o swój los.

Dr. Doyen od lat 25 zajmuje się poważnymi studyami głównie nad bakteryologią. Już w r. 1882 przedstawił Pasteurowi rezultaty swych badań, a wówczas słynny bakteryolog zaproponował mu współpracownictwo w swem laboratoryum pod warunkiem

robił cenne spostrzeżenia, przy których posługiwał się fotografią i mikroskopową kinematografią.

Uwieńczeniem tej dwudziestopięcioletniej działalności dla dobra cierpiącej ludzkości jest ogłoszenie metody leczenia raka, w którą jednak lekarze nie-

rak bowiem staje się chorobą coraz powszechniejszą i porywa mnóstwo ofiar.



Turnieje kawalerzystów angielskich: Kawalerzyści w maskach potykający się na broń białą.

Podróże Roosevelta.

Po wyrzeczeniu się polityki i ustąpieniu z godności prezydenta Stanów Zjednoczonych, zapragnął Roosevelt wyjechać na wyprawę myśliwską do Afryki. Zapalony sportsmen nie mógł wyrzec się myśli przedsięwzięcia wielkiej wyprawy afrykańskiej, o której marzył od dawna.

Ostatecznie po długich przygotowaniach projekt doszedł do skutku. Przez długi czas zaginęły słuchy o wielkim człowieku, który nagle zrzucił frak polityczny, a przywdział strój myśliwski. Wśród równikowego słońca przebywał Roosevelt wraz ze swym orszakiem olbrzymie przestrzenie puszcz afrykańskich, a wśród licznych przygód, które zniósł z zadziwiającym w tym wieku hartem i odpornością organizmu i licznych niebezpieczeństw, na jakie niejednokrotnie był wystawiony, umiał zadziwiać swym spokojem, zimną krwią angielską i odwagą, która w zachwyt wprawiała towarzyszących mu negrów.

Zebrawszy liczne trofea myśliwskie, Roosevelt rozpoczął powrót z Afryki do Europy. Po zwiedzeniu Egiptu, bawił dłuższy czas we Włoszech, przyjmowany wszędzie owacyjnie i serdecznie.

Pobyt jego we Włoszech stał się głośny w prasie całego świata z powodu nieporozumienia, do jakiego doszło między byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych, a Stolicą Apostolską. Prezydent Roosevelt miał mianowicie być przyjętym na audyencyi u papieża. Tymczasem do audyencyi nie doszło z tego powodu, że kurya rzymska postawiła Rooseveltowi jako warunek przyjęcia go, aby nie odwiedził kościoła metodystów. Wobec tego warunku Roosevelt zrezygnował z audyencyi u papieża.

W najbliższych dniach spodziewany jest jego przyjazd do Wiednia.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

17 (Ciąg dalszy).

Znalazłem tam ulicę Richelieu... ulicę Saint Denis, a co ważniejsza, słyszałem dokoła siebie swą mowę rodzinną. Byłem zachwycony! Miałem wrażeżenie, iż oddycham powietrzem mych stron ojczystych, które z zapachem lasów z wsi rodzinnej, przywiodło mi na myśl pamięć przeżyte tam radości i bóle.

...Gdy wieczorem spacerowałem po ulicach Montrealu, zapuściłem się także do dzielnicy angielskiej... Przyglądałem się bezmyślnie wystawom sklepowym na ulicy Mac-Dongall, gdy naraz uwagę moją zwrócił olbrzymi kolorowy afisz, zawieszony koło jaskrawo pomalowanych drzwi... Było to ogłoszenie kabaretu, wzorowanego na angielskich music-hall, które obiecywało każdemu przyjemne spędzenie wieczoru. Wszedłem i ja do środka za dość licznie udającą się tam publicznością i zająłem niewygodny fotel w orkiestrze, za cenę dwóch dolarów... Program przedstawienia składał się z numerów, jakie można oglądać we wszystkich podobnego rodzaju zakładach... Pokazała się więc naprzód cała gromada śmiesznych „*girls*", potem najrozmaitszych narodowości śpiewaczki i tancerki, następnie niezwykli zawsze ekwilibriści japońscy, grupa gimnastyków i gimnastyczek i kobieta z gumy...

Głównym punktem programu miała być pantomina, zatytułowana: *Kwestya murzyńska*, która w Kanadzie nadawała się do wszelkiego rodzaju żartów i kpin, lecz która nie byłaby tolerowaną i pobłażliwie przyjętą w innych Stanach Związku, gdzie doprowadzała też często do gwałtownych i krwawych rozruchów!

...Od pierwszej chwili wejścia na scenę aktora, poznałem w nim Dżima. Dawny służący Joego, miał odegrać tutaj główną rolę!... I wyznać muszę, że opanowało mną zaraz wzruszenie, którego nie mogłem przypisać przedstawieniu. Nie widziałem go nawet! Nie rozumiałem wcale mimiki negra, od której cała s[illegible] pokładała się od śmiechu! Wzrok swój utkwiłem w małych drzwiach na scenie w środku dekoracyi, chwiejących się od przeciągu z za kulis. Nie patrzyłem nawet na Dżima, który tańczył zapamiętale jakiegoś szalonego cake-walka... Oczy me spoczywały bez przerwy na tych drzwiach, oczekiwałem bowiem, że otworzą się lada chwila i wbiegnie przez nie na scenę towarzyszka Dżima, partnerka jego w tej pantominie, Łucya Weill we własnej osobie.

I rzeczywiście też, spotęgowało się moje wzruszenie niezmiernie, gdy w chwilę potem rozwarły się drzwi, które dla mnie były całem przedstawieniem i ukazała się w nich Łucya Weill! Lornetka zadrgała mi przy oczach na jej widok. ...I to była Łucya Weill, ta wstrętna kabotynka, która w wyuzdanych podskokach zjawiła się przed publicznością i jako ulubienica została przywitana grzmotem oklasków!

Poznałem Łucyę Weill!... Poznałem ją po jej wielkich, okrągłych oczach z sinemi dokoła obwódkami... nie poznawałem jednak w niej tej pięknej kobiety, jaką była niegdyś. Zestarzała, wychudła, o zwiędniętem ciele i pomarszczonej twarzy nie była tą pięknością, jaką ją znałem, nie była to kochanka Williama i żona Polidora!... Zdawało mi się, że raczej widzę widmo Łucyi, jej szkielet, niż ją samą!... Wycięty głęboko stanik odkrywał jej chudą, wydłużoną szyję z żyłami, podobnemi do postronków!... Lampy elektryczne oświecały jej zniszczoną przez rozpustę i alkohol i wymalowaną twarz. ...Zapadnięte policzki i wystające kości świadczyły niezbicie, iż nienma już w niej nic żywego, zdrowego... Pozostały jej tylko dawne oczy ze swym przejmującym czarem, oczy Łucyi, nadające jeszcze oznaki życia jej wynędzniałej, prawie martwej twarzy.

Opuściłem lornetkę i nie patrzyłem już na tę straszną pantominę! Tłum śmiał się jak szalony z min dziewczyny i z dziwacznych ruchów negra!... Mnie ogarnęła bezmierna litość... Gdy publiczność oklaskiwała ostatnią scenę, w której czarny kochanek zdobył sobie miłość białej, podniosłem się bezwiednie ze swego fotelu, wyrwałem z butonierki bukiecik fiołków, które przy wejściu do sali przypięła mi do klapy żakietu jakaś biedna kwieciarka i pewną ręką rzuciłem go na scenę... Bukiecik zawirował jak ptak w powietrzu i padł u samych nóg aktorki...

Łucya i Dżim zwrócili się jednocześnie w stronę gentlemana, który dał im tak niespodziewaną oznakę swego zadowolenia...

Stałem ciągle w trzecim rzędzie foteli, odbijając się od całej sali swą głową podniesioną do góry, ze złotemi okularami na nosie, ze wzrokiem utkwionym na scenę...

...Łucya i Dżim nie skończyli swego dziękczynnego ukłonu... Nie troszcząc się o program, zapominając końca pantominy, zmieszani, opuścili nagle scenę i uciekli za kulisy, nie kłaniając się nawet publiczności za oklaski!

...Służący hotelowy, którego wysłałem nazajutrz rano w poszukiwaniu za artystą z musik-hall, z trudem tylko zdołał sprowadzić do mnie Dżima... Negr nie otrząsł się jeszcze z wczorajszego wrażenia i nie chciał iść z mym posłańcem... Dopiero podarek kilkunastodolarowy i zapewnienie, że nie chcę mu uczynić nic złego, skłoniły go do złożenia mi wizyty...

— Ach! — zawołał Dżim, gdy mnie zobaczył — panie może się pochwalić, że nas przestraszył, mnie i Łucyę!...

Przyjąłem go serdecznie i to go dobrze usposobiło... Jadłem właśnie pierwsze śniadanie, zaprosiłem go więc do stołu, zamiast jednak herbaty lub czekolady wolał się napić kieliszek rumu.

— Teraz, Dżim — rzekłem — może dasz mi o sobie jakie wiadomości?... Może powiesz mi naprzykład, w jaki sposób znalazłem cię w tej budzie w Montrealu?

— Panie mógł nas spotkać w zeszłym roku w Pittsburgu, a przed pół rokiem w Colorado!... Trzeba żyć, panie... Pieniądze, które panie nam dał, nie na długo starczyły przy Łucyi! Gdy nas przycisnęło, trzeba było wziąć się do czego... i wzięliśmy się do tego!... Łucya śpiewała jak anioł, a ja grałem znośnie na gitarze...

— Strasznie się zmieniła! — przerwałem.

Na twarzy negra zamalował się zaraz wyraz rozpaczy... Postawił na stole swój kieliszek rumu, a wielkie jego białe oczy, napełniły się łzami... Kwadratowy podbródek oparł na rękach, spojrzał mi prosto w oczy i rzekł bezdźwięcznie:

— Już przepadła, panie!

Kaszlnął... starał się naśladować kaszel Łucyi, by dać mi do zrozumienia, iż jest podminowana suchotami!... Wstrząsnął boleśnie swą wielką, kędzierzawą głową i dodał:

— Wczoraj po przedstawieniu, z powodu wrażenia, jakie odniosła ujrzawszy panie, dostała ataku... Pluła krwią przez całą noc. ...Przepadła już Łucya!

— Wzywałeś lekarza?

— Tak, panie. Doktór powiedział, że ona nie opuści już Montrealu.

Jadłem spokojnie śniadanie, pragnąc okazać się obojętnym wobec opłakanego stanu Łucyi, którą tak zmienioną widziałem po raz pierwszy wczoraj na scenie... Zapytałem więc jeszcze:

— Czy dawno już tak kaszle?

— Zaczęło to się w San Francisko, gdyśmy nie znaleźli już ani jednego dolara w kieszeni, panie! Ona lubiała bardzo napić się, piła szampana... wszystkie likiery ...i czy Dżim może wiedzieć wszystko!

I podał mi powtórnie drżącą ręką pusty kieliszek, by dowieść mi zapewne, iż dla niego nie jest strasznym alkohol, który jednak potępia u swej towarzyszki.

Przypomniałem sobie Łucyę Weill z dawnych czasów, by przekonać się, jak nisko teraz spadła!... I może zostanę uznany za człowieka pozbawionego wznioślejszych uczuć, przyznam się jednak, że w chwili tej nie doznawałem dla niej żadnej litości...

Swym płaczliwym głosem negr mówił dalej:

— Ach! jak ja byłem szczęśliwy z Łucyą!

I z całą naiwnością dodał, jakby na przykładzie chciał dowieść mi swej szczęśliwości.

— A biła mnie jak w bęben, panie!... I zdradzała mnie z Pierpontem i z Johnem... gentlemenami z Chicago... z gentlemenami z Cincinnati i z gentlemenami z Nowego Orleanu!... Wszędzie, wszędzie! panie!... Ach! ile mi ona cierpień zadała!... i ja byłem bardzo szczęśliwy!

Widząc, że oprócz tych lamentacyi nic więcej nie dobędę z Dżima, przerwałem i zapytałem:

— Jaki doktór ją leczy?

— Doktór Brown z ulicy Wellington!

— Dobrze, Dżim... Zajmę się tem!

Dałem negrowi garść dolarów i wskazałem mu na drzwi.

— Ach! — zawołał, odwracając się jeszcze na progu — a Łucya bardzo się ucieszyła z tego bukiecika fijołków od panie!

...W kwadrans potem doktór Brown z ulicy Wellington był już w hotelu.

— To pan, szanowny gentlemanie, jest chory? zapytał bez ceremonii i dodał zaraz... — Trzy funty za wizytę w domu!...

— Niech pan siada! Dostanie pan sześć!

— Pan jest neurastenik?

— Nie! Jestem Brentano, król papierowy.

— Ach, w takim razie to będzie dziesięć funtów, jeżeli master pozwoli!

— Dwadzieścia, jeżeli pan zechce... Pan leczy jedną osobę, którą się interesuję, śpiewaczkę z music-hall, ...tuberkuliczną i alkoholiczkę w dodatku!...

— Żonę negra?... Tak... Wiem... Byłem dziś u niej rano...

— Czy uważa pan, że koniec jej blizki?... Za tydzień muszę być już z powrotem w Nowym Jorku!

— Za tydzień, to znaczy jeszcze ośiem dni! — powtórzył doktór, udając, że rachuje na palcach. — Jeżeli master Brentano, interesuje się pan tą śpiewaczką z music-hall, to nie będzie pan potrzebował zwlekać ze swym powrotem!... Jest już stracona, niepowrotnie stracona!... Nie pozwoliłem pokazywać się jej na scenie!... Jest to już teraz kwestya nie dni, lecz godzin! Czy to jest wszystko, co pan chciał wiedzieć?

— Wszystko! Ile?

— Dwadzieścia funtów, jak pan sam powiedział!

Doktór Brown zagarnął podane sobie pieniądze i wyszedł z przesadną powagą.

Teraz dopiero, gdy pozostałem sam w pokoju, poczułem się wzruszonym i do głębi przejętym. Nie nazwy francuskie ulic Montrealu, nie mowa jego mieszkańców, nie koloryt lokalny wywołał w mym wzburzonym umyśle widoki życia paryskiego i przypomniał me dawniejsze życie, lecz ten nędzny strzęp człowieka, złożony na marnem posłaniu, ta dziewczyna, która była nieszczęściem mego syna Polidora i zięcia mego, Williama Duncana, ta Łucya Weill, która teraz konała!... I choć może będę uważanym za ostatniego z ludzi, mówię jednak głośno, iż śmierć Łucyi Weill napełniała mnie jakimś nieznanym spokojem, jawiła mi się jak blask słońca na zachmurzonem po burzy niebie! Nie wiedziałem sam, czego mam oczekiwać po jej śmierci, miałem jednak jakieś wewnętrzne przeczucie, że fakt ten wywrze jakieś doniosłe skutki, położy się całym swym ciężarem w poprzek mego życia i zmieni doszczętnie dotychczasowy jego kierunek..

...Na czwarty dzień po przedstawieniu w kabarecie, wpadł do mnie Dżim cały w łzach i oznajmił mi wśród płaczu o śmierci Łucyi Weill... Towarzyszył mu doktór Brown, który chciał otrzymać jeszcze jedno honoraryum...

— Ach! panie! — łkał i jęczał biedny negr. — Zgasła jak płomień zapałki... trzymając w swych wychudzonych palcach pański zwiędnięty już bukiecik fijołków... i z rozkoszą powąchała go jeszcze po raz ostatni zanim oddała swą duszę!

...I jakiś szatan... tak! tylko szatan! nie mogło to być nic innego!... pobudził mnie, bym pobiegł do telegrafu i wysłał następującą depeszę:

Doktór William Duncan, Paryż.

Łucya Weill zmarła dzisiaj, 27 grudnia w Montrealu...

Jonatan Brentano.

XXIII.

Postanowienie me było stanowcze, zamiar mój zupełnie jasny. Ani przekonywujące dowody pana Tecka, ani wzruszające prośby mego sekretarza, Johna Fellowa nie mogły skłonić mnie do zaniechania mej decyzyi... Nagle zjawiła mi się myśl podróży do Francyi i natychmiast też się zdecydowałem.

— Pan nie postępuje już rozsądnie, master Brentano — mówił mi adwokat Teck. — Naprawdę, nie!... Do czego to podobne, by człowiek, który przedstawia wartość stupięćdziesięciu milionów dolarów, narażał się na niebezpieczeństwo, a nawet sam je wywoływał, kiedy od niego żądają tylko, by pozostawał na miejscu w spokoju, jakiego zażywa już od dwóch lat!... Czy pan źle na tem wychodzi?... Schudł pan? Stracił pan choćby kilo?

— Nic dobrego nie wróżę sobie po pańskiej podróży, master Jonatanie — namawiał mnie do pozostawia mój sekretarz, John Fellow. — Dobrze pamiętam wszystko, co się przytrafiło pańskiemu wspólnikowi a memu pierwszemu szefowi, Joemu Duncanowi, gdy przed trzema laty przedsięwziął taką samą podróż!... Nie przyniosła mu ona szczęścia!... Niech mi pan wierzy! Ja mam jakieś niewyraźne przeczucie, master Brentano, że jeżeli pan przepłynie Atlantyk, to ja już nie zobaczę pana więcej!

Zaniepokojonemu pełnomocnikowi Williama odpowiedziałem w ten sposób:

— Niech się pan uspokoi, kochany mecenasie... Nieporozumienie, jakie istniało między mną a pańskim klientem, już ustało!... Łucya Weill nie żyje... i niema już żadnych powodów, by William nie miał mnie przyjąć z wielką radością!

Oddanego zaś sobie sekretarza, Johna Fellowa, tak uspokajałem:

— Pozbądź się, mój przyjacielu, Johnie, swych nierozsądnych przeczuć!... Cel mojej podróży do Europy jest diametralnie przeciwny celowi, jaki sobie postawił mój nieszczęśliwy wspólnik, Joe Duncan... Niech Bóg ma w opiece jego duszę!... Zobaczy mnie pan wkrótce i możliwem jest, że przyniosę panu jeszcze szczęście!... Dzięki swemu długiemu życiu, oddanemu pracy i swym wiadomościom stał się pan godnym prowadzenia trustu papierowego... I w chwili, gdy wycofam się z interesów, panu tylko powierzę kierownictwo mego dzieła i dzieła Joego, pańskiego pierwszego i nieodżałowanego szefa!

John Fellow rumienił się z radości, jaką mu sprawiały me słowa, mecenas jednak Teck nie mógł rozchmurzyć swego czoła!

Ani argumenty jednego, ani przeczucia drugiego nie mogły mnie odwieść od wykonania mego postanowienia. ...Jakaś nerwowa gorączka nagliła mnie do zobaczenia Williama i do ustnego potwierdzenia mu lub depeszy z Montrealu! Pragnąłem przytem jak najprędzej ujrzeć i żonę Williama, mą ukochaną córkę, Ewelinę. Prawdę mówiąc, nie miałem żadnego jasno określonego planu. Zachowanie się moje względem nich, zależeć będzie tylko od przyjęcia, jakie mi zgotuje William!... Może zmuszonym będę pozostać do końca tylko Jonatanem Brentano, kochankiem Nelly Burlington i wykazać mu jego błąd, że B.R.R.B.S. nie jest BR.NT.N. A może też okoliczności skłonią mnie do tego, iż uznam prawdziwe znaczenie jego równania algebraicznego i będę mu nawet winszował jego przenikliwości! Może wreszcie zrzucę dla Eweliny swą maskę z twarzy i William pokocha swego teścia, rzeźbiarza Barrabasa! Stanie się jedno lub drugie, niezależnie jednak od moich chęci lub rachub!

Te trzy lata życia amerykańskiego uczyniły mnie zbyt praktycznym, bym miał się teraz bawić jakiemiś bezsensownemi przepowiedniami!

W jakiś czas potem wsiadłem na okręt jadący do Francyi z tym jedynym zamiarem, by jako król papierowy odbyć podróż tylko dla przyjemności!... Okaże się jednak wkrótce, jak bardzo myliłem się nawet i w tym wypadku! Przez dziwny zbieg okoliczności okrętem tym był *La Touraine*, ten sam, na którym przyjechałem do Nowego Yorku w towarzystwie Joego Duncana, Łucyi Weill i syna swego, Polidora. Chciałem zajmować tę samą kajutę, co i poprzednio i udało mi się to bez żadnych trudności... Jak tylko okręt podniósł kotwicę, do głowy mej napłynęła cała fala wspomnień. Jawiły mi się, jakby przychodzące z morza widma przeszłości... Ujrzałem Łucyę zamordowaną, jak sądziłem, przez Joego i zmartwychwstałą potem, by wywieść mnie z błędu! Ujrzałem Joego i usłyszałem jego donośny głos, który zdawał się głuszyć szum fal morza... „I cóż, Jonatanie... nie podziwiasz zatoki Hudsońskiej! Nawet za dolara nie masz w sobie ciekawości... Usłyszałem także Polidora, jak zjawił się w nocy w mej kajucie i żądał: „Daj mi pięć luidorów“!

Z tych czworga dawnych pasażerów ja jeden tylko pozostałem przy życiu i jednakowym żalem wspominałem Joego, zamordowanego przez Polidora, Polidora zamordowanego przez sprawiedliwość ludzką i Łucyę Weill, zabitą przez swe własne namiętności.

Nie wyjechaliśmy jeszcze zupełnie z przystani, gdy podszedł ku mnie kapitan okrętu i trzymając z uszanowania czapkę w ręku, zapytał:

— Czy pan jest master Jonatan Brentano, sławny król papierowy?

— Tak, to ja.

— Zaszedł nieprzyjemny wypadek... Prawa są stanowcze... Nie wolno mi przerywać jazdy, by umożliwić panu powrót!... Nie ujechaliśmy jeszcze dwóch mil, gdy z brzegu wysłano depeszę do pana gołębiem pocztowym!

Kapitan podał mi przytem pasek papieru, na którym przeczytałem te słowa:

„Wracać do portu. Depesza z Francyi. Teck“.

— Co się należy za naruszenie regulaminu? — zapytałem.

Kapitan wydał się obrażonym i odparł uroczyście:

— Mam zaszczyt powtórzyć panu, że prawa są stanowcze i wyraźne...

I przy słowach tych obrócił się ku mnie pomocnik tego kapitana, wypchanego regulaminem i nie mającego w sobie nic amerykańskiego i wręczył mi nowy pasek papieru, na którym wypisane było:



Podniosłem się bezwiednie ze swego fotelu..

Kablogram z Paryża był taki: „William ...a...... Podpisane: Marcadian“.

John Fellow.

— Przepraszam — rzekłem do oficera — co to znaczy?

Oficer nachylił się nad skrawkiem papieru, który nam przyniósł nowy gołąb pocztowy i odrzekł wymijająco:

— Bardzo przykre, ale aparat nie odbił tego słowa! Człowiek nie jest doskonały, tembardziej maszyna...

Teraz ja się odwróciłem plecami do oficera, zirytował mnie bowiem brak tego słowa, wskutek czego cała depesza pozbawiona była znaczenia.

Cały pierwszy dzień podróży zajęty byłem tym skrawkiem papieru, który mi przysłał mój sekretarz, John Fellow... Była to jednak zagadka niemożliwa do odcyfrowania... W tem uciętem słowie, którego na żaden sposób nie mogłem się domyśleć, była jednak tylko samogłoska „a“ i nic!... „William ...a...“ Co więc więc William...?... Była to zawne odpowiedź na mą depeszę z Montrealu, zwiastującą mu śmierć Łucyi Weill!... Co do tego nie miałem żadnej wątpliwości! Lecz dlaczego użył on pośrednictwa Marcadiana, by mi odpowiedzieć: „William ...a...“ Co William?

Lakoniczność tej odpowiedzi zaintrygowała mnie i tem więcej zaostrzała ciekawość. „William ...a...“ Cóż mogło być z tym Williamem? I pozostawałem z oczami jak zahypnotyzowanemi przez tę samogłoskę, jedyną literę, jaką źle funkcyonujący aparat odbił dla mnie z całego tajemniczego słowa! Umysł mój kręcił się dokoła tej litery jakby w jakiem zaczarowanem kole bez wyjścia... Układałem najrozmaitsze słowa, pozbawione wszelkiego zastosowania tutaj, które też nie mogły zadowolić ani wyobraźni... mimo to traciłem czas nad wynajdywaniem coraz to nowych...

Nagle jawiło mi się w myśli jedno, od którego zadrżałem cały!... Depesza stała się dla mnie teraz zupełnie jasną i czytałem tę straszną wieść:

„William umarł...“

Depesza ta nie mogła mieć innego znaczenia tylko to jedno, nie mogła nic innego zawierać!... Dowodził tego podpis Marcadiana i lakoniczność zredagowania tej wiadomości: „William umarł!...

Telegraf dzięki swej niedoskonałości złagodził to, co depesza mego szwagra miała w sobie brutalnego i złowieszczego! Schowałem ten pasek papieru do kieszeni i wyszedłem na pokład, by zaczerpnąć powietrza, którego zaczynało mi brakować w kajucie... I znowu mogę wydać się najgorszym z ludzi, lecz i tym razem jeszcze przyznam się do ulgi, jaką mi przyniosła z sobą ta wiadomość!

Umarł! William nie żyje! Był to koniec zmory, jaka mnie dusiła bezustannie od trzech lat!... Teraz miałem możność opowiedzenia swych strasznych przygód mej ukochanej córce, Ewelinie i memu szwagrowi, Marcadianowi... ...Te ostatnie słowa pożegnania wyrzeczone w przystani przez Johna Fellowa, brzmiały mi teraz radośnie i pobudzały serce do szybszego bicia:

— Mam jakieś niewyraźne przeczucie, master Brentano, że jeżeli pan przepłynie Atlantyk, to ja już nie zobaczę pana więcej!

...Domyślałem się też dość dokładnie, co uczynił po mym wyjeździe mój sekretarz, jak również i mecenas Teck... Bardzo możliwem było, iż uprzedzili oni telegraficznie Marcadiana o mym przyjeździe do Hawru i że wobec tego wysiadając na ląd, spotkam w przystani wzruszonego jak zwykle Marcadiana...

Domysły me sprawdziły się... Po sześciu dniach nieprzerwanej jazdy, znalazłem się na brzegu odrazu w objęciach Marcadiana, który okazał się wyraźniejszym, niż jego depesza... Natomiast moja przenikliwość poniosła porażkę w tłómaczeniu tego „William ...a...“

William nie umarł!

William Duncan, lekarz psychiatra zwaryował!

— — — — — — — —

Marcadian postarzał się bardzo przez te trzy lata!... Wydał mi się przygnębionym, plecy miał pochyłe, krok chwiejny i całą postawę przygarbioną!... Pogłębiły mu się zmarszczki na wysokiem czole i dokoła oczów, cera pożółkła i twarz wychudła... Głos jego stracił swą dźwięczność i jasność; oczy jego nie świeciły się już tym zimnym, stalowym blaskiem, który czynił go nieraz nieznośnym!... Przekonałem się jednak zaraz z jego uprzedzającej grzeczności, iż pozostałem dla niego tym samym opatrznościowym amerykańskim obywatelem, który przed trzema laty uwolnił go od Polidora!...

— Ach, master Brentano! — zawołał — co za szczęście, że pana widzę! Wejdzie pan do domu, w którym panuje rozpacz i nieszczęście; pana jednak oczekują w nim jak zbawienia!... Pan otrzymał mą depeszę?... To pańska szatańska depesza z Montrealu sprawiła całe zło!... Po co pan zawiadamiał Williama o śmierci Łucyi Weill?... Pan mu zadał ostatni cios... Biedny człowiek, zwaryował... został nieuleczalnym waryatem!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nieszczęśliwy wzlot awiatora w Pradze.

Po wspaniałych rezultatach zagranicznych a szczególnie francuskich awiatorów, przyszła kolej na Austryę, gdzie już od dawna nie brak było zrozumienia dla doniosłości latawców powietrznych. Szczególnie sfery wojskowe, zainteresowane rozwojem lotnictwa na zachodzie Europy, dokładały starań, by ten nowoczesny środek komunikacyi przyswoić dla potrzeb armii. Pierwsze próby nie przyniosły jednak powodzenia śmiałkom, którzy chcieli bujać w powietrzu bez odbycia choćby kursu lotnictwa u któregokolwiek z wybitniejszych awiatorów. Pierwszym, który mógł się poszczycić jakim takim rezultatem, był inżynier Warchałowski w Wiedniu, który miał sposobność obeznać się z zasadami lotnictwa na kursie specyalnym we Francyi.

Po wzlotach Warchałowskiego przyszły wzloty w Pradze, podjęte przez inżyniera praskiego, Hieronimusa, ucznia Blériota. Pierwsze próby, odbyte na torze wyścigowym wobec zaproszonych znawców, udowodniły, że młody pilot jest już dobrze obeznany z zasadami lotnictwa i skłoniły nawet pewne konsorcyum polskie do zaangażowania inżyniera Hieronimusa celem urządzenia kilku wzlotów we Lwowie, Krakowie i Czerniowcach.

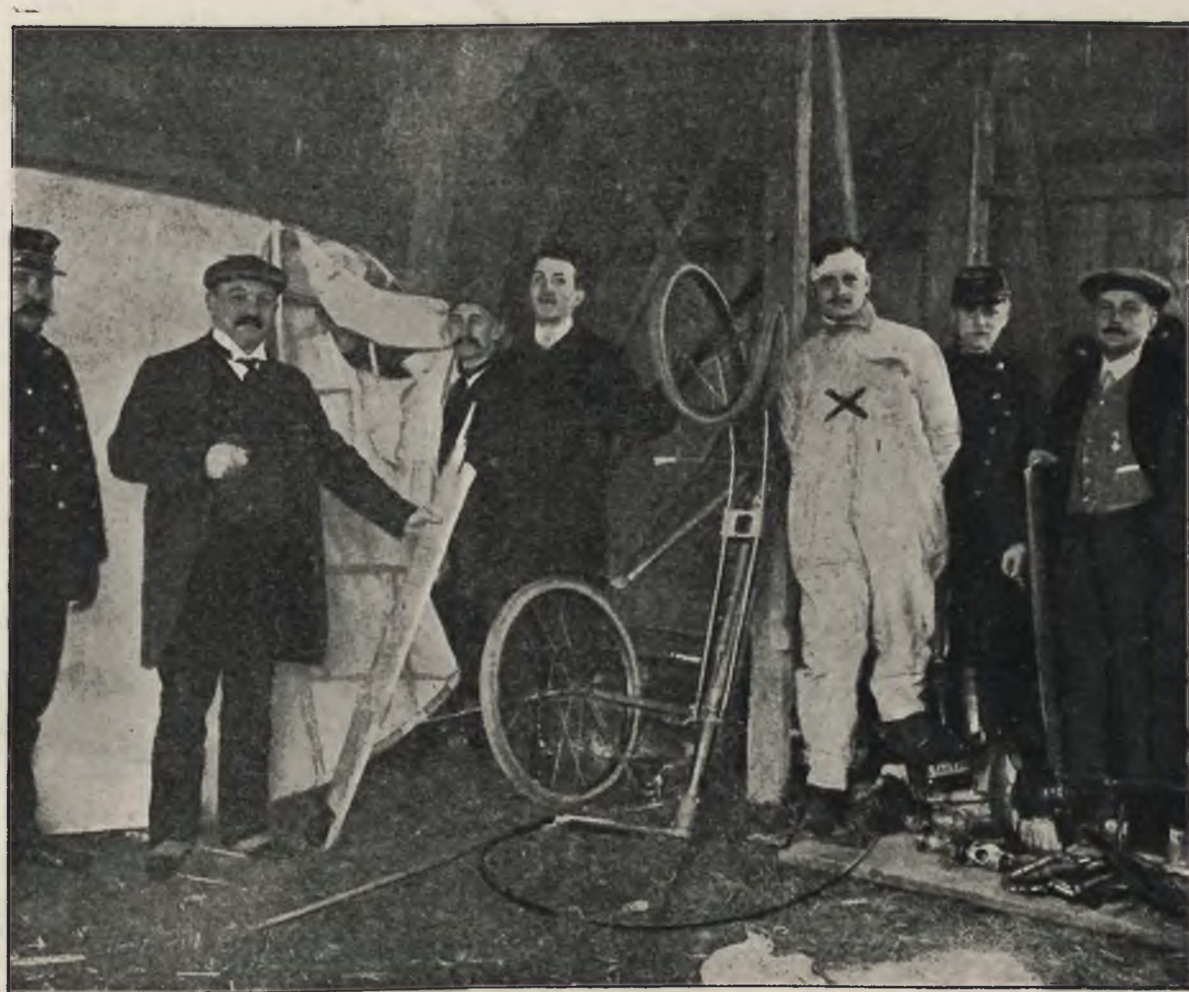
Popisowy wzlot dla publiczności, zainteresowanej próbami Hieronimusa, miał się odbyć w niedzielę dnia 3 b. m. na placu wyścigowym. Z powodu gwałtownego wichru wzlot jednak nie doszedł w tym dniu do skutku i został odłożony do dnia następnego.

Około 15 tysięcy osób znalazło się na placu wyścigowym. Między wysokiemi osobistościami, które w dniu tym przybyły na tor, nie brakło najwyższych reprezentantów tak kół wojskowych jak i władz politycznych.

Z napięciem oczekiwano chwili wzlotu młodego inżyniera. Na dany znak oczy wszystkich zwróciły się w stronę hangaru, z pod którego miał wzlot nastąpić. Po krótkim rozpędzie aeroplan wzbił się w powietrze na wysokość 10 metrów. Nagle został szarpnięty siłą wichru i ku przerażeniu obecnych przewrócił się, spadając na ziemię. Skutki upadku dla awiatora, na szczęście, nie były zbyt fatalne. Z wyjątkiem ran na głowie i ramionach, Hieronimus wyszedł z niebezpiecznego upadku stosunkowo dość cało. Aparat natomiast uległ zupełnemu zdruzgotaniu.

Mimo odniesionych ran Hieronimus natychmiast zabrał się do zebrania resztek aparatu, a nazajutrz pojechał do Monachium po części składowe celem jak najszybszego skonstruowania nowego aeroplanu.

Obok zamieszczamy fotografię inżyniera Hieronimusa obok resztek rozbitego aeroplanu.



Nieszczęśliwy wzlot awiatora w Pradze: Inżynier Hieronimus (X) w hangarze obok resztek rozbitego aeroplanu.

Cykliści lwowscy.

Lwów posiada obecnie bardzo silną i ruchliwą organizacyę cyklistów, a to „Galicyjskie towarzystwo cyklistów i motorzystów“, powstałe z dwu istniejących tam poprzednio klubów. Organizacya ta posiada już dziś około 200 członków, a nadto ma w kilku miastach Galicyi oraz w Królestwie Polskiem swoich konsulów.

Zarząd, wybrany niedawno na walnem zgromadzeniu, wziął sobie za cel rozbudzenie zamiłowania wśród cyklistów do dalekich, wspólnych wycieczek, celem zaznajomienia się z piękniejszemi okolicami kraju. Będzie też urządzał w pewnych odstępach czasu wyścigi torowe i drogowe.

W ubiegłą niedzielę nastąpiło otwarcie sezonu letniego, zainaugurowane wycieczką grona członków towarzystwa gościńcem stryjskim w kierunku Mikołajowa. Popołudniu tego dnia zebrali się członkowie na torze wyścigowym towarzystwa za roga-



Cykliści lwowscy: Grono członków galicyjskiego towarzystwa cyklistów i motorzystów na torze wyścigowym. (Fot. K. Münz, Lwów).

tką stryjską, gdzie dokonano otwarcia toru, a wieczór odbyło się zebranie towarzyskie w jednej z restauracyj.

Obecnie czyni Galicyjskie towarzystwo cyklistów i motorzystów przygotowania do trzechdniowych wyścigów torowych, w dniach 5, 7 i 8 maja, ze współudziałem kilku wybitnych cyklistów zagranicznych. Największą wycieczką będzie wycieczka do Krakowa na zlot grunwaldzki w połowie lipca.

Na czele ruchliwego towarzystwa stoi obecnie znany sportsmen dr. Henryk Mikolasz, a usiłowania jego wspierają dzielnie dwaj kapitanowie pp.: Porczyński i Florek.

Zdjęcie nasze przedstawia grono członków, zebranych na torze wyścigowym.



Kopiec grunwaldzki w Niepołomicach: Sypanie kopca grunwaldzkiego przez mieszkańców Niepołomic.

Kopiec grunwaldzki w Niepołomicach.

W Niepołomicach, miasteczku pełnem pamiątek po królach polskich, leżącem tuż u krańca puszczy niepołomskiej, obywatele tamtejsi podjęli myśl, aby w rocznicę Grunwaldu, przy dawnej drodze „polskiej", wiodącej do Krakowa, którędy szedł po zwycięstwie nad Krzyżakami król Jagiełło ze zdobytymi trofeami wśród uroczystego pochodu do grodu królewskiego, na pamiątkę usypać kopiec.

Myśl ta została z żywą radością podjęta u ogółu mieszkańców Niepołomic, którzy też w chwilach wolnych od pracy zawodowej, spieszą za miasto na jedyny w okolicy wzgórek i zwożą ziemię na przyszły kopiec. Zwozi inteligencya miejscowa, zwozi mieszczaństwo tutejsze i robotnicy z pobliskiej fabryki dachówek p. Wimmera, który zapewne nie odmówi swego udziału, przez przeznaczenie choć na kilka dni pewnej części robotników fabrycznych do tej pracy.

Zwożą starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, bo taczek pełnych trzeba zwieść około 20 tysięcy, a wobec ochotniczej roboty cyfra ta zapewne się powiększy w dwójnasób.

Roboty wykonywane są pod opieką miejscowego Tow. „Sokół", a pod technicznym nadzorem bezinteresownym inżynierów regulacyi Wisły, w Niepołomicach stacyonowanych. Jest myśl, aby na szczycie kopca pomieścić cząstkę ziemi z pobojowiska grunwaldzkiego oraz głaz granitowy.

Skoro praca będzie już w pełnym toku, resztę wykonają fachowi robotnicy, aby kopiec oczywiście pod względem zewnętrznym, jak też i wewnętrznej budowy mógł okazale i trwale wyglądać. W tym celu już obecnie gromadzi się na to fundusze.

Jakkolwiek praca idzie raźno, to jednak czasu na wykonanie jest dość, albowiem pięćsetna rocznica wyruszenia pochodu Jagiełłowego z Niepołomic przypada dopiero na dzień 25 listopada.

Otwarcie muzeum oceanograficznego w Monaco.

Albert I, władca księstwa Monaco, wybudował na stromej skale nad brzegiem morza, obok średniowiecznego zamku, nowożytny pałac, który swym zewnętrznym wyglądem przyciąga i nęci oko widza-wędrowca. Starodawny, średniowieczny, wystarczał wprawdzie w zupełności władcy tak małego księstwa, jakiem jest Monaco. Ale Albert I. umiał stać się nowoczesnym zdobywcą i rozszerzył swój wpływ ponad daleko większe obszary, niż niejeden z władców wielkich państw europejskich. Książę Albert, który od wczesnej młodości poświęcił się nauce



Otwarcie muzeum oceanograficznego w Monaco: Front nowo zbudowanego pałacu oceanograficznego.

i miał ambicyę, by jako najmniejszy władca europejski stać się największym uczonym między monarchami. Na okręcie swym, nie uzbrojonym ani w jedno działo, krążył przez lat 25 po wodach podzwrotnikowych i podbiegunowych, otoczony przez sztab, złożony z mężów, których cała strategia skierowana była w kierunku poznania tajemnic głębin morskich, ich fauny i flory. Historya jego rządów spisana jest na kartach geografii krain podmorskich, z których wiele książę Monaco sam spisał. Uwieńczeniem jego wieloletniej pracy naukowej było wybudowanie w Monaco wspaniałego pałacu obok starożytnego zamku, na pomieszczenie cennych zbiorów muzeum oceanograficznego.

Uroczyste otwarcie i poświęcenie tego pałacu naukowego, zbudowanego kosztem wielu milionów, nastąpiło dnia 29 marca w obecności księcia Alberta i licznych uczonych i profesorów, którzy z całego świata zjechali do Monaco na tę rzadką uroczystość.

Podczas bankietu, wydanego przez księcia Monaco w dniu otwarcia i poświęcenia muzeum, obok księcia-uczonego zasiedli przy stole były prezydent rzeczypospolitej francuskiej Loubet, minister spraw zagranicznych Pichon w zastępstwie rządu francuskiego, wielki admirał Grenet, jako zastępca króla włoskiego i wielki admirał v. Köster, jako zastępca cesarza niemieckiego. Wśród uczonych całego świata nie brakło i reprezentanta uczonych polskich, prof. dra Józefa Nussbauma Hilarowicza ze Lwowa. — Za zasługi naukowe zamianowała paryska akademia umiejętności ks. Monaco swym członkiem.



Otwarcie muzeum oceanograficznego w Monaco: Ks. Albert w uniformie członka akademii paryskiej.



Przed powrotem do ojczyzny: Nabożeństwo na cmentarzu bośniackim za dusze zmarłych żołnierzy na obczyźnie.

Przed powrotem do ojczyzny.

Wobec uspokojenia się stosunków na półwyspie Bałkańskim i oswojenia się rzekomo „interesowanej“ Europy ze sprawą aneksyi, Austro-Węgry mogły wycofać z południa pewną część swych sił, któremi wzmocniono tamtejsze załogi w czasie spodziewanego konfliktu z Serbią. Z ulgą powracali żołnierze w swe rodzinne strony; było między nimi i wielu Polaków, szczególnie w batalionie 30 pułku piechoty, który przed niedawnym czasem opuścił Banialukę i przymaszerował do swego rodzinnego grodu.

Z pobytu na Południu wynieśli żołnierze wiele wspomnień bardzo rzewnych. Do najpiękniejszych należy przypomnienie tej podniosłej chwili, gdy przed odjazdem z Banialuki kapelan wojskowy poświęcił statuę Matki Boskiej, ufundowaną przez żołnierzy Polaków, którzy nawet na obczyźnie nie zapomnieli o swej Królowej, pod której skrzydła oddały ich matki i choć w ten sposób chcieli Jej wyrazić wdzięczność za opiekę, jakiej im nie skąpiła.

Drugie, również rzewne wspomnienie, wiąże się z naszą illustracyą. Przed odmarszem załogi z jednej z miejscowości bośniackich, na wiejskim cmentarzu zbiera się wojskowość, począwszy od oficerów i ich rodzin, a skończywszy na szeregowcu, aby pożegnać kolegów i przyjaciół, którzy nie ujrzą już swych stron ojczystych. Kapelan wojskowy odprawia mszę św. za duszę wiernych zmarłych, a w niejednem oku błyska łza, niejedną piersią męską wstrząsa bolesne łkanie!

Dramat miłosny.

Powiadają ogólnie, że dzisiejsze pokolenie jest nawskroś zmateryalizowane, że obce mu są wszelkie szlachetniejsze, idealniejsze porywy, że także miłość szczera, bezinteresowna, dziś właściwie nie istnieje. Może jest w tem dużo prawdy, ale i to pewne, że zdarzają się wyjątki. Dowodem tego tragiczny wypadek, który w ubiegłym tygodniu rozegrał się w Sanoku.

W mieście tem przebywała od lat paru Eugenia Wolakówna, dziewczyna młoda i przystojna, zajęta jako pokojowa w jednym z tamtejszych hoteli. Dziewczynę tę poznał i pokochał namiętnie pewien podoficer 45 p. p. i pragnął usilnie ją poślubić. Miłość jego jednak była bez wzajemności, Wolakówna bowiem uczucia swe zwróciła gdzieindziej. Widząc bezskuteczność swych najusilniejszych zabiegów i najgorętszych próśb i zaklęć, rozkochany podoficer wpadł w stan ogromnego rozdrażnienia nerwowego i postanowił zamordować swą ukochaną a następnie sobie życie odebrać.

Zamiar swój istotnie po otrzymaniu ostatecznej odmownej odpowiedzi od Wolakównej wykonał. Strzał pierwszy był celny i Wolakówna obojętność swą wobec rozkochanego podoficera przypłaciła życiem. On sam natomiast żyje jeszcze, gdyż strzał zranił go ciężko, tak iż dotąd walczy ze śmiercią.



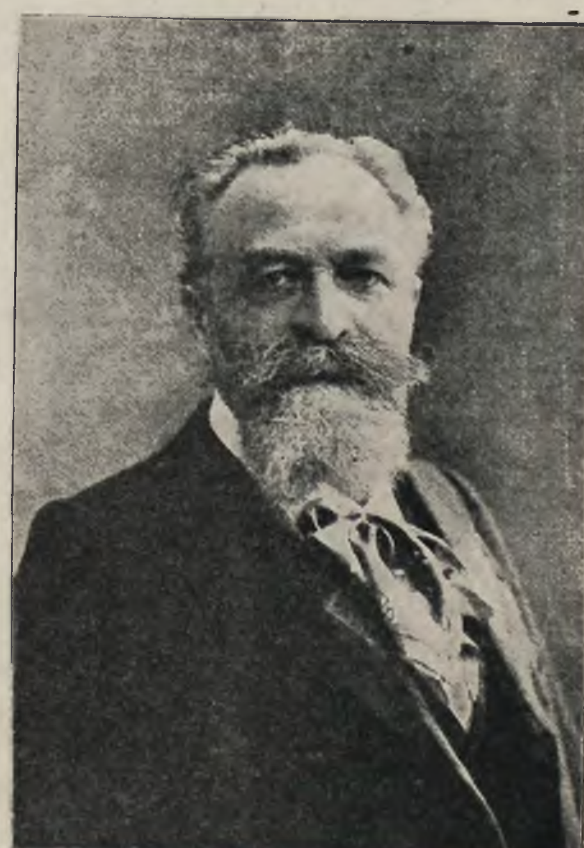
Fot. J. Puretz, Sanok.

Dramat miłosny Ś. p. Eugenia Wolakówna.

Zgon wybitnego muzyka francuskiego.

Muzyka francuska, a nietylko francuska ale i całego świata, straciła tymi dniami wybitną siłę, jednego z pionierów nowoczesnego ruchu muzycznego we Francyi. Zmarł bowiem Edward Colonne, głośny w całym świecie kapelmistrz i organizator koncertów symfonicznych.

Pochodził ze znanej rodziny, odznaczającej się wybitnemi zdolnościami muzycznemi. Ukończywszy studya muzyczne w konserwatoryum paryskiem, jako nadzwyczaj uzdolniony skrzypek zorganizował za inicyatywą nakładcy muzycznego Hartmana małą orkiestrę, której występy w teatrze „Odeon“, aczkolwiek doskonałe i zdradzające u jej kierownika



Zgon wybitnego muzyka francuskiego: Ś. p. Edward Colonne

niebywały talent, na razie jednak nie cieszyły się zbytniem powodzeniem. Dopiero po przeniesieniu się orkiestry do teatru „Châtelet“, gdzie zespół wystąpił już w zwiększonym znacznie składzie, meloni a także i liczna doborowa publiczność poczęli tłumnie zapełniać widownię, wśród której rozbrzmiewały prześliczne i nadzwyczajnie oddane utwory Berlioza, Cezara Francka i innych, wówczas zapomnianych kompozytorów. Wkrótce cała Europa zainteresowała się tem prawdziwie artystycznem przedsiębiorstwem muzycznem, prowadzonem pod firmą: *Concert national.*

Koncerty głośnej orkiestry Colonne'a stanowiły prawdziwą biesiadę muzyczną, a sława ich równą była dzisiejszym koncertom wagnerowskim.

Podróże księcia japońskiego.

Książę japoński Hiroyasu Fushimi, który niedawno bawił przez kilka dni w stolicy Austryi w Wiedniu i był na audyencyi u cesarza, udał się następnie ze swą świtą do Budapesztu.

Piękne miasto węgierskie, wesołe, tętniące życiem nietylko dziennem ale i nocnem, pełne prześlicznych, wspaniałych gmachów, podobało się oczywiście niezmiernie egzotycznemu księciu.

Z Budapesztu udaje się książę Fushimi na południe, a stamtąd przez Wiedeń i Warszawę do Petersburga.

Rozbicie pociągu wojskowego w Nadrenii.

Do szeregu licznych katastrof kolejowych, które wydarzyły się w ostatnich miesiącach, przybyła znowu jedna, która pociągnęła za sobą liczne ofiary w ludziach. Tym razem nieszczęśliwemu wypadkowi uległ pociąg wojskowy, wiozący żołnierzy, powracających z urlopów świątecznych do ich garnizonów nadreńskich. Wieść o katastrofie rozeszła się szybko po całych Niemczech i wywołała nadzwyczaj przykre wrażenie, szczególnie wśród ludności polskiej, z pośród której rekrutowała się przeważna część żołnierzy, powracających owym pociągiem z ojczystych stron do koszar.

O samej katastrofie, która wydarzyła się w dniu 30 u. m., jak i o jej przyczynie, donoszą pisma następujące szczegóły. Pociąg wojskowy zatrzymał się przed stacyą Mühlheim, ponieważ wjazd na dworzec był zamknięty. Właśnie w chwili, gdy pociąg miał ruszyć z miejsca, nadjechał z tyłu pociąg ekspresowy, kursujący między Hamburgiem, Bremą a Genuą i wpadł z całą siłą na pociąg wojskowy. Uderzenie w skutkach musiało być straszne, bo maszynista później jęk i płacz tylko wydobywał się z pod zgruchotanych wozów, pod którymi kilkunastu żołnierzy kończyło młode życie. Kontrast tych dwóch momentów musiał dla widzów być strasznym i wstrząsającym.



Rozbicie pociągu wojskowego w Nadrenii: Ogólny widok rozbitego pociągu przed stacyą Muhlheim.

pociągu ekspresowego wcale nie zmniejszył szybkości, aczkolwiek dojeżdżał do stacyi. Połowa wozów pociągu wojskowego uległa częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu, z górą 200 młodych ludzi tarzało się we krwi, a 21 poniosło śmierć na miejscu. Ci, którzy widzieli moment najechania ekspresu na pociąg wojskowy, nie zapomną nigdy tej strasznej chwili. Oto przed sekundą cały pociąg rozbrzmiewał wesołemi i hucznemi pieśniami, w sekundę

Odpowiedzialność za okropną w skutkach katastrofę spada wyłącznie na maszynistę pociągu ekspresowego, który nie zauważył sygnału, zabraniającego dalszej jazdy.

Według doniesień pism niemieckich, władze przeprowadziły natychmiast na miejscu jak najdokładniejsze śledztwo i stwierdziły, że maszynista istotnie przejechał sygnał „stój“, zamykający linię dla dalszej jazdy. Nie ulega wątpliwości, że kara, jaka spotka maszynistę za jego nieostrożną i lekkomyślną jazdę, będzie nadzwyczaj surowa, mimo to nawet najsurowszy wymiar sprawiedliwości nie zdoła zabitych przywrócić do życia, a poszkodowanym i rannym wrócić utraconego zdrowia.

Pogrzeb zabitych żołnierzy odbył się nadzwyczaj wspaniale, przy udziale reprezentantów armii, władz cywilnych i licznego duchowieństwa tak katolickiego jak i protestanckiego. Zwłoki przewieziono ze stacyi w Mühlheim do poszczególnych garnizonów, do których zabici żołnierze należeli i tam je z honorami wojskowymi pochowano.

Ranni żołnierze po tymczasowem założeniu opatrunków przez lekarzy kolejowych, zostali przewiezieni specyalnym pociągiem do szpitali garnizonowych, a po wyleczeniu będzie większa część prawdopodobnie uznaną za niezdolnych do dalszej służby.



Fot. Müllner János, Budapeszt.

Podróże księcia japońskiego: Książę japoński Hiroyasu Fushimi (1) ze swą małżonką (2) i konsulem japońskim Palatay Odoen w Budapeszcie.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

14

— Cóż ja mogę odpowiedzieć na to?... Przecież ja nic podobnego nie widziałam u niej i nie wiem nawet, co ona miała.

Nie wątpiłem wcale o tem, iż mówi prawdę i nie chciałem przedłużać tej ciężkiej sceny, zwłaszcza, iż winniśmy byli posłać jeszcze depeszę do Grysa. Wziąłem panią Belden za rękę i chciałem ją wyprowadzić, lecz uklękła przed ciałem Dżen i rzekła:

— Tu jest moje miejsce i nigdzie stąd nie odejdę.

Gdy zaproponowałem agentowi, by udał się zaraz na pocztę, nie zgodził się na to i odparł:

— Dotąd nie wyjdę, dopóki ta kobieta nie opuści tego pokoju i dopóki pan nie przyrzeknie mi, że będzie sam zamiast mnie na nią uważał.

— Za daleko pan zaszedł w swych podejrzeniach — odpowiedziałem mu — i zbyt pan jest okrutny. Nic jeszcze nie znaleźliśmy takiego, coby usprawiedliwiało podobne zachowanie się z nią, a przytem nie wiem, coby ona mogła tu zrobić złego. W każdym razie przyrzekam, że będę na nią uważał.

— Nie chcę, by pozostawała tutaj — upierał się agent. Niech pan sprowadzi ją na dół, dopóki bowiem będzie w tym pokoju, nie wyjdę wcale z domu.

— Zdaje mi się, że pan się zapomina i wyobraża sobie, że jest tu panem.

— Może być, że mam po temu swe powody. Posiadam coś takiego, co usprawiedliwia moje postępki.

— List, zapewne?

— Tak.

— Niech mi go pan da do przeczytania — rzekłem, wyciągając rękę.

— Nie dam, dopóki ta kobieta stąd nie wyjdzie.

Ponieważ pozostawał niewzruszonym, musiałem zwrócić się znowu do pani Belden.

— Chcę prosić, by poszła pani ze mną — rzekłem jej — tego wypadku nie możemy uważać za zwykłą śmierć. Należy zawiadomić o tem sędziego śledczego, najlepiej więc będzie, jeżeli pani narazie się stąd oddali.

— Niech pan pośle po sędziego, mieszka tu w sąsiedztwie, ja jednak zostanę tutaj.

— Lecz po co to? — spytałem z niezadowoleniem. Jeżeli będzie się pani tak upierała, to będę zmuszony oddać panią pod nadzór tego człowieka, a sam pójdę po sędziego.

Słowa te podziałały na nią. Rzuciła pełne wzgardy spojrzenie agentowi i powstając, rzekła:

— Jestem w pańskiej mocy!

Potem nakryła chustką od nosa twarz zmarłej i wyszła w milczeniu z pokoju. W minutę potem miałem w rękach list, o którym mówił agent.

— Ten tylko list znalazłem — rzekł mi — był on w kieszeni sukni, którą pani Belden miała wczoraj na sobie; drugiego listu nie odnalazłem, zdaje mi się jednak, że ten jeden wystarczy.

Wziąłem list; był to mniejszy z tych dwóch, które pani Belden odebrała wczoraj z poczty; drugiego, większego listu nigdzie nie było. Treść znalezionego listu była następująca:

„Droga Przyjaciółko!

„Znajduję się w strasznem położeniu. Zawiadamiam panią o tem, ponieważ wiem, że pani mnie lubi. Nie mogę się wdawać w szczegóły, mam jednak do pani wielką prośbę. Proszę bez żadnych skrupułów i rozmyślań zniszczyć jeszcze dzisiaj to, co pani otrzymała do przechowania. Zgody drugiej osoby nie potrzeba — musi mi pani być posłuszna, w przeciwnym razie zginęłam. Niech pani spełni mą prośbę i ocali tę, która panią kocha".

List był adresowany do pani Belden; nie miał on ani podpisu, ani daty, wysłany był jednak z Nowego Jorku. Dobrze znałem charakter tego pisma; list ten pisała Mary Lavenfort.

— Dość podejrzany jest ten list — zauważył znacząco agent; — kompromituje on tak posyłającą, jak i adresatkę.

— Istotnie, jest to niezwykle obciążający szczegół — potwierdziłem. — Na szczęście dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, iż treść listu nie odnosi się, jak pan myśli, do Dżen; jest tu mowa o dokumentach, które oddano pani Belden na przechowanie.

— Jest pan o tem przekonany?

— Najzupełniej. O tem porozmawiamy jednak później, a narazie należy wysłać jak najprędzej depeszę i zawiadomić sędziego śledczego.

— Według rozkazu! — i przy słowach tych wybiegł pospiesznie z domu.

Panią Belden spotkałem na dole w korytarzu, chodziła po nim od jednego końca do drugiego i żaliła się gorzko na straszne położenie, w jakiem się znalazła; najbardziej jednak bolało ją to, iż nie będzie śmiała pokazać się na oczy pastorowi i sąsiadom. Z wielkim trudem udało mi się wreszcie ją uspokoić. Skłoniłem ją, by siadła i wysłuchała mnie.

— Szkodzi tylko pani sobie tem nadmiernem oddawaniem się rozpaczy — rzekłem jej. Winna pani skupić swe myśli i siły, by mężnie znieść to, co jeszcze dzisiaj panią oczekuje.

Następnie zapytałem jej, czy nie ma jakich krewnych lub znajomych, którzy mogliby okazać jej jaką pomoc w tak ciężkiej chwili.

Ku memu zdziwieniu odpowiedziała przecząco na to pytanie.

— Mam sąsiadów i dobrych znajomych — odparła — nie mam jednak nikogo, na kim mogłabym polegać w tak trudnych okolicznościach i całą nadzieję pokładam w panu.

Wzruszyła mnie bezwiednie taka ufność i zapewniłem ją, że gotów jestem uczynić dla niej wszystko, co mogę, lecz przedewszystkiem winna być ze mną zupełnie szczerą. Doznałem wielkiej ulgi, gdy oznajmiła mi, że bezzwłocznie chce mi wszystko opowiedzieć.

— Dosyć już mam tych wszystkich tajemnic — zaczęła. — Mam teraz takie wrażenie, jabym czuła się zmuszoną do opowiedzenia całemu światu tego, com uczyniła dla Mary Lavenfort. Zaklinam jednak pana na wszystko, niech mi pan powie przedtem, w jakiem położeniu znajdują się obie panny? Nie śmiałam rozpytywać o to, ani pisać do nich. W gazetach wymieniają często imię Eleonory, a nie wspominają wcale o Mary, tymczasem Mary pisze mi, że grozić jej będzie wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli rozgłosi się kilka faktów z jej życia. Gdzież tedy prawda?

— Proszę pani — odparłem — Eleonora dlatego znalazła się w tak ciężkich warunkach, bo nie chciała powiedzieć wszystkiego, co wiedziała. Co zaś do Mary... Nie mogę jednak mówić o niej, dopóki pani nie wyzna wszystkiego, co wie. Położenie obu panien do tego stopnia jest niejasne i zagmatwane, iż nie potrafilbym nawet przedstawić pani tego. Od pani zaś chcemy się tylko dowiedzieć, w jaki sposób pani została wmieszana do tej ciemnej historyi, jaki udział przyjmowała w całej tej sprawie Dżen i dlaczego uciekła ona z Nowego Jorku i schowała się tu u pani.

— Pan może nie uwierzy mi — zawołała pani Belden, załamując ręce — lecz ja naprawdę nie wiedziałam, czy Dżen wie cokolwiek o tem zabójstwie. Nic mi nie opowiadała, a ja też o nic jej nie pytałam. Powiedziała mi tylko, iż panna Lavenfort chce, aby ona ukryła się u mnie na pewien czas, ponieważ zaś lubię bardzo Mary, na tyle okazałam się słabą, iż spełniłam jej prośbę i...

— Czyżby pani chciała powiedzieć, że bez względu na okrywającą to zabójstwo tajemnicę przyjęła pani i ukryła u siebie Dżen tylko dlatego, ponieważ prosiła o to Mary Lavenfort, że pani nie wie nawet, jaki udział ona przyjmowała w tej sprawie i nie pytała jej pani o nic?

— Tak, wszystko to tak było, chociaż pan może nawet w to i nie uwierzy. Sądziłam, że jeżeli Mary przysyła tutaj tę dziewczynę, to musi mieć jakieś przyczyny do tego i... i... teraz, gdy cała sprawa przyjęła taki obrót, nie umiem nawet wyjaśnić panu wszystkiego.

— Istotnie, to było dość dziwne z pani strony. Czyż pani zawsze tak ślepo poddawała się życzeniom Mary Lavenfort?

— Cała rzecz w tem — odpowiedziała z westchnieniem biedna wdowa — iż ja zawsze ubóstwiałam miss Lavenfort i tłómaczyłam sobie wszystko po swojemu. Sądziłam, że z powodu jakiegoś nieznanego mi wypadku, związaną ona jest jakiemiś węzłami z przestępcą, który dopuścił się tej haniebnej zbrodni i zdawało mi się, że najlepiej przeto nie pytać o nic, a robić tylko to, co mi każą, sprawa zaś cała sama się wkrótce wyjaśni. Kierowałam się w danym wypadku nie rozsądkiem, lecz głosem swego serca. Jeżeli prosi mnie o cokolwiek osoba, którą kocham, to ja nie mogę jej odmówić.

— I pani kocha Mary Lavenfort, chociaż przypuszcza pani, że ona zdolną jest do takiego występku?

— Ja nie uważam jej za winną, myślę tylko, iż przypadkowo została wmieszaną do tej sprawy.

— A co pani wie o Mary takiego co dało powód pani do podobnych przypuszczeń?

Blada dotychczas twarz gospodyni zalała się żywym rumieńcem.

— Nie wiem, co mam panu odpowiedzieć na to — odrzekła — jest to długa historya.

— Nic nie szkodzi, niech mi pani wszystko opowie.

— Chodzi o to, iż Mary znalazła się w rozpaczliwem położeniu, z którego mogła ją wyzwolić tylko śmierć stryja.

— Jakież to było położenie?

W chwili tej rozmowę naszą przerwały czyjeś kroki na werandzie: był to agent, wracający jednak sam. Opuściłem na chwilę panią Belden i wyszedłem do niego:

— I co? — zapytałem — nie zastał pan sędziego śledczego? Nie było go w domu?

— Nie, wyjechał. O dziesięć mil stąd zdarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek — mrugnął przytem znacząco oczami i dodał: — dużo jeszcze czasu upłynie, zanim powróci.

— Zapewne drogi są bardzo złe? — rzekłem i westchnąłem z pewną ulgą.

Rzeczywiście bardzo złe. Prędzej można tam dojść pieszo, niż dojechać!

— Tem lepiej dla nas. Pani Belden zamierza opowiedzieć mi długą historyę.

— I chciałby, pan, aby nikt panu nie przeszkadzał słuchać? Rozumiem.

Kiwnąłem potakująco głową; agent skierował się do drzwi.

— Telegrafował pan do Grysa?

— Owszem.

— Sądzi pan, że przyjedzie?

— Napewno, nawet gdyby musiał opierać się na kulach.

— Kiedy go pan oczekuje.

— Dla pana będzie tutaj o trzeciej godzinie.

Przy słowach tych włożył kapelusz i wyszedł powoli na ulicę z miną człowieka, który ma jeszcze cały dzień przed sobą i nie wie, czem się zająć. Ja udałem się do pani Belden i oznajmiłem jej, że sędzia śledczy wyjechał i nie prędko wróci, że mamy więc przed sobą kilka godzin, podczas których może mi spokojnie opowiedzieć swoją historyę. Bez zwłoki też przystąpiła do opowiadania.

Pierwszą część historyi pani Belden częściowo już znałem. Przez ostatnie kilka lat zarabiała na życie różnemi kobiecemi robótkami. W lipcu zeszłego roku po raz pierwszy, ujrzała Mary Lawenfort, która przyszła do niej osobiście z zamówieniami. Pani Belden została ujęta pięknością i uprzejmością młodej panny, Mary zaś poczuła do niej sympatyę, jako do kobiety inteligentnej i znanej ze swej dobroczynności. Obie panie zaprzyjaźniły się wkrótce i z każdym dniem coraz bardziej zbliżały się do siebie. Tegoż lata Mary spotkała i poznała Klaweringa. Polubiła go, z czem nie ukrywała się zupełnie przed panią Belden. Opowiedziała jej jednak przytem, że bardzo wątpliwym jest związek między nimi, ponieważ stryj jej nienawidzi Anglików i nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Chociaż Klawering jest człowiekiem dość zamożnym, nie chce jednak zrzec się nadziei pozostania spadkobierczynią swego stryja; w przeciwnym bowiem razie, musiałaby żyć ze swym mężem w daleko skromniejszych warunkach, niż te, do jakich przywykła.

Mimo to młodzi ludzie zbliżali się do siebie coraz bardziej i pewnego razu podczas nieobecności stryja, który wyjechał za interesami, zaręczyli się w tajemnicy. Eleonora uznała za swój obowiązek powiadomić o tem stryja po powrocie jego z podróży. Rozgniewał się bardzo i rozkazał, by Mary zerwała natychmiast wszelkie stosunki z Anglikiem. Mary poddała się napozór woli stryja i rozeszła się z narzeczonym, który jakkolwiek opuścił wkrótce tę miejscowość, zamieszkał jednak w pobliskiem miasteczku.

Pani Belden zawsze skłonna do pomagania zakochanym parom, stała się teraz pośredniczką między nimi i dla ułatwienia stosunków, poradziła Mary, by nazwała się Emą Belden, Klawering — Roy Robbinsem. Listy swe narzeczeni przesyłali sobie przy pomocy Dżen, która wtedy była już

pokojówką obu panien; było to o tyle dogodne i bezpieczne, iż Dżen nie umiała ani pisać, ani czytać.

„W krótkim jednak czasie — mówiła dalej pani Belden — stan rzeczy bardzo się zmienił. Mister Klawering, który zostawił w Anglii chorą matkę, otrzymał nagle depeszę, iż zrobiło jej się gorzej i że obecność jego w domu jest konieczna. Zaczął przygotowywać się do podróży, boiąc się jednak utracić narzeczoną, której nie brakło adoratorów, zaproponował jej, by jeszcze przed jego odjazdem wzięła z nim ślub. Napisał jej, że gotów jest spełnić wszystkie jej żądania i poddać się wszelkim warunkom, jakie postawi, byle tylko zgodziła się wyjść za niego za mąż, w przeciwnym bowiem razie nie będzie mógł spełnić obowiązku kochającego syna i nie znajdzie w sobie sił, by pojechać do Anglii.

„Mary odpowiedziała mu, że gotowa spełnić jego prośbę, ale pod tym warunkiem, iż od niej będzie zależało, kiedy ogłoszą swe małżeństwo i że on natychmiast po ślubie wyjedzie i nikomu nie zdradzi ich tajemnicy. W kilka dni potem otrzymała odpowiedź, iż zgadza się na wszystkie warunki.

Teraz pani Belden musiała okazać cały swój spryt i poświęcenie; trzeba było urządzić wszystko tak, aby w nikim nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia, przytem należało się spieszyć, ponieważ okręt, którym miał odjechać Klawering, odchodził za trzy dni. Ponadto oboje zakochani zwracali ogólną uwagę swoją powierzchownością, ślub więc ten musiał odbyć się w jakiejś ustronnej i niezbyt odległej miejscowości — w przeciwnym bowiem razie dłuższa nieobecność Mary dałaby znowu sposobność Eleonorze do czynienia rozmaitych przypuszczeń.

Stryj w tym czasie udał się w nową podróż, z jego więc strony nie było żadnych przeszkód. Najodpowiedniejszem ku temu miejscem, okazała się mała wioska F., w której na szczęście mieszkał pastor, skromny i małomówny człowiek.

— Plan nasz był następujący — ciągnęła dalej swe opowiadanie pani Belden. — W oznaczonym czasie winna była Mary wyjechać z domu, oznajmiając Eleonorze, iż jedzie razem ze mną do sąsiedniego miasteczka, by odwiedzić w niem swoją znajomą. Miała zajechać po mnie zamówionym zawczasu powozem i następnie miałyśmy udać się natychmiast do F. Chociaż plan ten był bardzo prosty, nie zwróciliśmy uwagi na jeden szczegół, a mianowicie, na miłość Eleonory dla swej kuzynki. Same przypuszczałyśmy, że ta historya może jej się wydać trochę podejrzaną, nie sądziłyśmy jednak, że jest ona poinformowaną o sekretnej korespondencyi zakochanych i że wogóle więcej wie o naszych zamiarach, niżbyśmy sobie tego życzyły.

„Zaledwie Mary zajechała po mnie i zdjęła swój długi płaszcz, by pokazać mi się w swym ślubnym stroju, gdy naraz ktoś energicznie zapukał do mych drzwi. Zarzuciłam natychmiast płaszcz na nią i pospieszyłam otworzyć, by pozbyć się jak najprędzej nieproszonego gościa. W chwili tej jednak usłyszałam za sobą głos Mary:

— Boże mój, to Eleonora!

— Co czynić? — zawołałam przerażona.

— Co czynić? Niech pani otworzy i niech ona wejdzie, nie boję się jej wcale.

Spełniłam życzenie Mary; Eleonora blada lecz z stanowczym wyrazem twarzy, weszła do pokoju i zwróciła się natychmiast do swej kuzynki.

— Przybyłam tu — rzekła spokojnie — by zapytać się ciebie, czy pozwolisz mi towarzyszyć sobie w dzisiejszym spacerze?

— Bardzo mi przykro — odparła Mary, przyglądając się w lustrze — lecz powóz jest tylko na dwie osoby, zmuszona więc jestem odmówić twej prośbie.

— Każę sprowadzić inny powóz.

— Dzisiaj jednak, Eleonoro, nie pragnę wcale twego towarzystwa. Chcemy ten spacer odbyć tylko we dwoje; przytem oczekują mnie i panią Belden.

— A więc stanowczo nie chcesz wziąć mnie z sobą?

— Nie mogę ci zabronić, byś jechała za nami drugim powozem.

Twarz Eleonory stała się jeszcze poważniejszą.

— Mary — rzekła — wychowywano nas razem jak siostry i jak siostrę kocham ciebie. Nie mogę też dopuścić, byś jechała Bóg wie gdzie w towarzystwie tej tylko kobiety. Pojadę za tobą wszędzie. Powiedz-że mi teraz, czy chcesz, bym jechała z tobą jak siostra, czy też wbrew twej woli mam jechać za tobą, jako obronicielka twej czci?

— Mej czci?

— Jedziesz przecież, by spotkać się z Klaweringiem.

— Nie przeczę.

— O dwadzieścia mil stąd?

— Tak jest!

— Czy to jest odpowiednie? Czy zgadza się to z twą godnością, Mary?



— Znajduje się u mnie — dodałem spokojnie.

— Jadę do F. dlatego, by zawrzeć ślub z Klaweringiem. Czy chcesz jeszcze jechać ze mną?

— Chcę!

Mary podbiegła do niej i chwytając ją z rękę, spytała:

— Po co? Co zamierzasz uczynić?

— Chcę być świadkiem twego ślubu i przekonać się, czy ślub ten będzie rzeczywisty, by w razie potrzeby mieć prawo stanąć w twej obronie.

Mary puściła rękę kuzynki i wyszeptała po cichu:

— Nie rozumiem ciebie. Sądziłam zawsze, że nie przyjęłabyś udziału w czynie, który uważasz za niesłuszny.

— Ja też i nie przyjmuję udziału. Każdy, kto mnie zna, przyzna, że byłam tylko mimowolnym świadkiem waszego ślubu.

— Więc po co w takim razie chcesz jechać z nami.

— Ponieważ twoja cześć jest mi droższą od mego spokoju, ponieważ kocham tego, kto nas obie swemi łaskami obsypał i wiem, że nigdyby mi nie przebaczył, iż dopuściłam, aby jego ulubienica zawarła związek małżeński w tak podejrzanych warunkach. Moja obecność w tym wypadku, doda temu obrzędowi większego znaczenia.

— Dobrze westchnęła Mary — trzeba się z tem pogodzić. Bardzo żałuję, pani Belden, że nie mogę wziąć pani z sobą, lecz powóz ten jest tylko na dwie osoby. Pani pierwsza za to powinszuje mi ślubu — dodała szeptem — gdy wieczorem przyjadę do pani.

I prędzej nim zdołałam opamiętać się, siadły obydwie do powozu i odjechały.

W jakiś czas po ślubie Mary zrobiła bardzo nieprzyjemne dla siebie odkrycie, a mianowicie, iż kuzynka jej prowadzi skrupulatny dziennik z ostatnich dwóch tygodni. I pod żadnym pozorem nie chce go zniszczyć — mówiła mi Mary — chociaż dowodziłam jej, że to nie bardzo uczciwe z jej strony w stosunku do mnie. Powiedziała mi na to, że będzie to jedynem jej tłómaczeniem na wypadek, gdy stryj będzie jej czynił potem wyrzuty, iż zawód mu uczyniła i zawiodła pokładane w sobie zaufanie. Przyrzekła mi, że będzie go miała zawsze pod kluczem, lecz jaka korzyść z tego? Czyż mało może zdarzyć się wypadków, dzięki którym dziennik ten może wpaść w ręce stryja? Do tej pory nie będę spokojna ani na jedną chwilę, dopóki nie będzie on zniszczony.

Starałam się pocieszyć ją, przypominając, że Eleonora pragnie tylko jej dobra i że dlatego nigdy w niczem jej nie zaszkodzi, nie chciała jednak słuchać i wtedy to poradziłam jej, aby dziennik ten leżał u mnie w przechowaniu tak długo, dopóki Eleonora nie będzie go potrzebowała. Myśl ta bardzo jej się spodobała i tegoż wieczora zrobiła odpowiednią propozycyę Eleonorze. Kuzynka jej przystała na jej prośbę, pod tym jednak warunkiem, że dam słowo, iż nigdy nie zniszczę powierzonych mi papierów, chyba w tym tylko wypadku, gdy obydwie na to się zgodzą.

W ten zatem sposób akt ślubny Mary, listy Klaweringa i dziennik Eleonory, zostały mi oddane w żelaznej szkatułce. Schowałam ją do szafy w jednym z górnych pokoi i tam ją trzymałam aż do wczorajszego wieczora“.

Tutaj pani Belden przerwała swe opowiadanie i spojrzała na mnie ukradkiem.

— Nie wiem, co pan powie na to — zaczęła dalej — lecz z obawy, by nie zaszkodzić Mary, wzięłam tę szkatułkę i wbrew pańskim radom wyniosłam ją z domu... Teraz ona...

— Znajduje się u mnie — dodałem spokojnie.

Zdaje mi się, że teraz biedna wdowa zdziwiła się jeszcze bardziej, niż wiadomością o śmierci Dżen.

— To niemożliwe — zawołała. Schowałam ją wczoraj wieczorem w starej lepiance, która zaraz potem zupełnie się spaliła. Chciałam ją tylko ukryć na pewien czas, a to miejsce wydawało mi się najustronniejszem i najbezpieczniejszem. Pudełka więc tego nie może pan mieć — dodała — chyba...

— Chyba, że go znalazłem i zabrałem przed spaleniem się lepianki — dokończyłem zamiast niej.

Silny rumieniec pokrył jej twarz.

— W takim razie pan mnie śledził? — zawołała.

— Tak — odpowiedziałem, a ponieważ poczułem, że również się rumienię, dodałem:

— Myśmy we dwoje grali dziwną rolę. Nadejdzie chwila, gdy te wszystkie straszne zdarzenia wydawać się nam będą tylko snem i wtedy wybaczymy sobie wszystko wzajemnie. Na razie jednak pozostawmy ten temat. Pudełko to znajduje się u mnie w całości i bezpieczeństwie, chcę tylko usłyszeć koniec pani opowiadania.

To widocznie uspokoiło ją, gdyż po krótkiem milczeniu mówiła dalej:

— Historya ma zbliża się do końca. W przeddzień odjazdu przyszła do mnie Mary na pożegnanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozłam wśród ziemian.

Sprawa „Rady kultury krajowej“, sprawa, którą zajmował się bardzo szczegółowo sejm galicyjski w czasie swej ostatniej sesyi, wywołała w łonie galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego ostre prze-



Rozłam wśród ziemian: Dr. Kazimierz Laskowski, były prezes gal. tow. gospodarskiego.

silenie. Jak wiadomo, projekt wspomnianej Rady, nietylko uszczupla zakres działania towarzystwa gospodarskiego i innych korporacyj obywatelskich, ale ma poważne konsekwencye polityczne.

W następstwie więc wystąpiły wśród członków towarzystwa gospodarskiego bardzo znaczne różnice zdań na ten temat. Jest to tem bardziej charakterystyczne, że członkowie towarzystwa tego, to przeważnie obywatele poważni, spokojni, usposobieni konserwatywnie i unikający bardzo skrupulatnie wszelkich przesileń i secesyi.

A jednak w tym wypadku właśnie najstarsi członkowie towarzystwa, najbardziej około jego rozwoju zasłużeni, zajęli stanowisko gwałtownie opozycyjne przeciw projektowi Rady kultury krajowej, powitanemu przez młodszych członków i pewne koła ziemiańskie wcale przychylnie.



Rozłam wśród ziemian: Dr. Włodzimierz Kozłowski.

Różnica zdań pod tym względem wystąpiła tak ostro i tak się silnie zaznaczyła, że przyszło na ostatniem walnem zgromadzeniu członków towarzystwa do secesyi grona najzasłużeńszych członków, a to prezesa towarzystwa radcy dworu Laskowskiego, byłego prezesa posła dra Włodzimierza Kozłowskiego, posła Artura Zaremby Cieleckiego, wicemarszałka dra Tadeusza Pilata, nadto pp.: Krzysztofowicza, Schnella i Viviena. Wszyscy wspomniani członkowie są posłami sejmowymi i należą do stronnictwa tzw. Podolaków.

Na czele towarzystwa gospodarskiego stanęli obecnie „nowi“ ludzie, a mianowicie: ks. Witold Czartoryski, jako prezes, pp.: Aleksander Dąmbski, dr. Aleksander Raciborski i Kazimierz hr. Szeptycki, jako wiceprezesi.

Wobec wystąpienia z wydziału ludzi najbardziej zasłużonych i ogólnym w kraju cieszących się szacunkiem, strata towarzystwa jest bardzo poważna, a stanowisko nowego wydziału bardzo trudne. Ze względu na doniosłą rolę, jaką towarzystwo gospodarskie odgrywa w społeczeństwie naszem, życzyć należy, by nowy wydział dorósł wysokości zadania i pokierował sprawami ziemiaństwa jak najlepiej.

Odwrót wojsk rosyjskich z Persyi.

(Do illustracyi na str. 3.)

Po zwycięstwie rewolucyonistów perskich nad wojskami i poplecznikami dawnego szacha, rozpoczęła się dla Persyi nowa era. Żywioły konstytucyjne zapragnęły przywrócenia normalnych stosunków w kraju, zrujnowanym i wyniszczonym długą walką z reakcyonistami perskimi.



Rozłam wśród ziemian: Książę Witold Czartoryski, nowo wybrany prezes gal. tow. gospodarskiego.

Z chwilą opuszczenia przez eks-szacha granic Persyi, nienawiść za przelaną krew i ruinę kraju zwróciła się w pierwszym rzędzie przeciw dotychczasowym doradcom dawnego rządu i chcąc, czy nie chcąc, musieli oni prędzej czy później również iść na wygnanie, niepewni życia w swej ojczyźnie.

Młoda Persya, rozpoczynająca obecnie nowe życie na nowych podstawach, ma do pokonania jeszcze mnóstwo trudności, zwiazanych ściśle z polityką zagraniczną mocarstw europejskich, mających swe specyalne interesy w Persyi. Z mocarstw interesowanych w pierwszym rzędzie wchodzi tu w rachubę Rosya i Anglia, z których pierwsza posiadała nawet do nienawna dość silne oddziały swych wojsk na terytoryum perskiem. Dawne sympatye, jakiemi przez pewien czas cieszyli się w Persyi Rosyanie, znikły z chwilą, gdy Rosya zupełnie wyraźnie oświadczyła się za polityką dawnego szacha.

Dziś, po uspokojeniu się kraju, wojska rosyjskie, wysłane swojego czasu do Persyi celem obrony Europejczyków, powoli już na życzenie nowego rządu opuszczają granice Persyi i cofają się ku granicom bucharskim.

Nowa ofiara awiatyki.

Z rozwojem awiatyki coraz częstsze są nieszczęśliwe wypadki i katastrofy. Przyczyną tych nieszczęśliwych wzlotów jest z jednej strony nieustalona stabilizacya aparatu i brak odpowiedniego motoru, a z drugiej strony zbyt ryzykowne wzloty, na jakie odważają się liczni piloci. To też w stosunkowo krótkim czasie, bo w ciągu niecałych 2 lat ofiarą awiatyki padło już sześciu zdolnych awiatorów, którzy zechcieli popróbować zbyt górnych lotów Ikarowych.

Szczególnie pechowną dla żeglarzy powietrznych była pierwsza niedziela kwietniowa. W dniu tym zdarzyły się dwie groźne katastrofy balonowe na Pomorzu, z których jedna pociągnęła za sobą nawet



Rozłam wśród ziemian: Dr. Tadeusz Pilat.

śmierć trzech członków pomorskiego Towarzystwa żeglugi powietrznej i dwa upadki aeroplanów, z których jeden zakończył się tragiczną śmiercią głośnego awiatora Huberta le Blon'a w San Sebastian.

Le Blon zamierzał w dniu tym wykonać wzlot ponad portem. Pogoda była wspaniała i odważny pilot wzbił się z ufnością w swój aparat w powietrze. Niestety, na wysokości 40 m. motor przestał funkcyonować i aparat w oka mgnieniu spadł na skały nadbrzeżne i pod szczątkami swemi pogrzebał ryzykownego pilota.

Jak skonstatowali mechanicy, katastrofa nastąpiła wskutek nagłego zatrzymania się motoru, przez co monoplan stał się igraszką dość silnego na tej wysokości, do której le Blon się wzniósł, wiatru.

Że jednak katastrofa ta nie wywołała wśród szeregu awiatorów zbyt wielkiego wrażenia, świadczy najwymowniej fakt, że już w kilka dni po śmierci le Blon'a znalazł się drugi pilot, który odważył się na ponowną próbę lotu nad morzem. Oto 11 b. m. pilot Godard wzbił się w Barcelonie w powietrze na znaczną wysokość i przeszybował ponad miastem i portem, przebywając w 55 sekundach przestrzeń 50 kilometrów.



Rozłam wśród ziemian: Artur Zaremba Cielecki.

Kronika tygodniowa.

(Po rozszerzeniu Krakowa. — Sprawa Banku przemysłowego. — Udział w nim Krakowa i Lwowa. — Gdzie Bank powinien mieć swą siedzibę? — Czy jest wogóle potrzebny? — Ostateczne załatwienie sprawy. — Walka o posady. — Czy Galicya jest krajem przemysłowym. — Co o tem myślą Niemcy. — O reformę wyborczą — Mięso rumuńskie. — Gdzie winowajca? — Podatki i lichwa mieszkaniowa. — W sprawie gruntów pofortyfikacyjnych. — O koncesye szynkarskie. — Fundusz grunwaldzki, roseggerowski i tannenberski).

Po rozszerzeniu naszej nadwiślańskiej stolicy, które, jak już w poprzedniej kronice zaznaczyłem, objawiło się na zewnątrz podwyższeniem cen mięsa i nadzieją, że zdrożeje jeszcze chleb i bułki, przeszliśmy do porządku dziennego, na którym znajduje się obecnie sprawa banku przemysłowego. Wije się ona, niczem tasiemiec i zajmuje opinię publiczną z obu stron Sanu, głównie zaś rady miejskie obu stolic, które z poważnym kapitałem przystępują do grona akcyonaryuszów. Przy tej sposobności toczyła się w lwowskiej radzie miejskiej dyskusya, o której, jako obchodzącej Kraków, warto wspomnieć. Podnoszono już w prasie krakowskiej i w naszej radzie okoliczność, że najodpowiedniejszą siedzibą banku przemysłowego byłby Kraków, który stanowi centrum galicyjskiego przemysłu fabrycznego i górniczego, zerwała się jednak burza, jak Kraków śmie się ubiegać o coś, co z samej natury rzeczy należy się stolicy urzędowej Galicyi, a tą jest przecież Lwów! W myśl znanego przysłowia ustąpiliśmy, kontentując się jedynie obietnicą, że w Krakowie powstanie filia owego banku, tymczasem onegdajsza dyskusya w lwowskiej radzie miejskiej przekonuje nas, że przecież ci, którzy chcieli widzieć Kraków siedzibą banku, mieli słuszność.

Poseł Tomaszewski omawiając sprawę banku przemysłowego, oświadczył wyraźnie, że Lwów nie jest w niej wcale interesowany, bo nie posiada warunków na rozwój przemysłu fabrycznego, ale tylko rękodzielniczego. Nie ma w pobliżu Lwowa ani węgla, ani ropy, ani sił wodnych, ani kopalni rudy, należy więc raczej ten kapitał, który ofiaruje się na założenie banku przemysłowego, poświęcić na poparcie rękodzieła.

Wogóle sprawa bankowa wikła się coraz bardziej, podnoszą się głosy, że bank tego rodzaju jest niepotrzebny, zwłaszcza, że w grę wchodzi tu obcy kapitał. Wedle orzeczenia fachowców, wpływ miast Krakowa i Lwowa na sprawy bankowe będzie iluzoryczny, zwłaszcza, że dolno-austryackie Towarzystwo eskontowe, które bierze udział w przedsiębiorstwie, oświadczyło stanowczo, że nie będzie popierać powstawania nowych gałęzi przemysłu, ale tylko dotąd istniejące, a na to zakładać banku nie potrzeba.

Ostatecznie i Kraków i Lwów zgodziły się na przystąpienie do banku z większym kapitałem, a marszałek Badeni wyjechał do Wiednia, aby załatwić sprawę. Jako pierwszy warunek ma postawić pod pisanie przez niemiecką instytucyę tak zwanej „klauzuli lojalności“, uchwalonej przez sejm i dopiero wówczas nastąpi wniesienie podania do władz o koncesyę i porozumienie co do składu rady nadzorczej i dyrekcyi. Wszystkie więc dotychczasowe kombinacye, były przeważnie wyssane z palca, między niemi te, że tą lub owa osobistość ma już zapewnioną posadę dyrektora, a rozchodzi się tylko o wysokość płacy.

Z racyi bankowej organa różnych stronnictw wymieniają między sobą sporo czułości, które świadczą aż nadto dobitnie, że każde z nich chciałoby w nowej instytucyi objąć kierownictwo, a tylko w tym wypadku zgodzi się, że bank tego rodzaju jest potrzebny. Inaczej ogłosi się, że pieniądze wyrzuca się za okno i poruszy wszystkie sprężyny, aby sprawie łeb ukręcić. Swoją drogą posada dyrektora jest tłustym kąskiem, na który warto się złakomić, nic też dziwnego, że każdy czuje w sobie siłę i ochotę do poświęcenia się dla dobra przemysłu krajowego za marne kilkadziesiąt tysięcy, a nie mając nadziei schwytania złotego ptaszka, jęczy i narzeka, że w ten sposób przemysłu galicyjskiego się nie zbawi, a kraj odda w zależność od obcego kapitału.

Poniekąd jest trochę w tem i racyi, gdyż uzdrawianie przemysłu galicyjskiego przy pomocy niemieckiego, więc wrogiego nam kapitału, jest może niewłaściwem, tłumaczy się to jednak biedą kraju, a zarazem i niedowierzaniem, czy Galicya może uchowić za kraj przemysłowy. Przed laty uczono nas w szkole, że Galicya należy do krajów rolniczych, dlaczegóż więc zmieniać to teraz i narażać młodzież uczącą się na niepotrzebny wydatek kupowania podręcznika, w którym będzie napisane, że „była ona krajem rolniczym, a teraz jest przemysłowym“.

Co do spraw przemysłowych, to zajmujemy się niemi nader mało, choć Galicya ma wszelkie dane, aby się w niej przemysł należycie rozwinął. Napotykamy wprawdzie na każdym kroku na trudności, a tych nie szczędzi nam szczególniej rząd, który każdy objaw budzącego się przemysłu, stara się gwałtem zdusić, aby ex re Galicyi, przypadkowo inne kraje koronne nie poniosły szkody, gdyż przyzwyczajono się, że z Galicyi należy tylko wywozić pieniądze, a absolutnie nic jej nie dawać, przy tem zaś narzekać, że Galicya jest bardzo biedna i tylko *mamę* Austryę naraża na niepotrzebne wydatki. Tak też w to uwierzyliśmy, że nawet nie możemy przypuścić, aby było inaczej!

Innego natomiast zdania są nasi najserdeczniejsi przyjaciele Niemcy, w szczególności zaś Prusacy, którzy w zagłębiu krakowskiem rozpoczęli formalne wywłaszczanie ziemi polskiej zapomocą wykupna tak zwanych węglowych wyłączności. Dziewięćdziesiąt dziewięć ich procent znalazło się już w rękach pruskich dzięki naszej nieopatrzności i niesumienności pewnych jednostek, które nie wahały się dla własnego interesu sprzedać je w obce ręce. Jeśli więc Prusacy widzą korzyść w tak poniewieranym przez siebie kraju i nie wahają się angażować tu swych kapitałów, dlaczego nie zrobimy tego sami, lecz czekamy, aż nas kto ubiegnie. Powodem i przyczyną jest ta dziwna apatya, w jakiej pogrążone jest całe nasze społeczeństwo, nie troszczące się wcale o dobro ogółu, byle jednostce działo się dobrze. Że mam racyę, twierdząc, iż mało się interesujemy sprawami publicznemi, może posłużyć za dowód, iż mamy przecież kilku posłów z Krakowa do parlamentu i sejmu, a nikt się nie znajdzie, ktoby od nich zażądał sprawozdania z dotychczasowej działalności.

To wpływa także ujemnie na działalność samych posłów, którzy widząc, że nie są kontrolowani przez swych wyborców, nie poświęcają sprawom publicznym takiej uwagi, jakby powinni. Cierpliwie czekajmy, może przecież zmienią się kiedyś stosunki na lepsze! Nie tak prędko to jednakże nastąpi, widzimy bowiem, że u nas wszystko sunie naprzód żółwim krokiem. Za przykład posłużyć może reforma wyborcza, która pokutuje w komisyi i subkomitecie i ani rusz nie może się uwolnić z uścisków, w jakie się dostała. Z jednej strony konserwatyści, z drugiej ludowcy, pracują pilnie, aby ją o ile możności odwlec *ad infinitum*, a prawdę powiedziawszy, to i narodowi demokraci i jacy tam są jeszcze, nie mogą się zdecydować w żaden sposób na reformę, gdyż z porządku rzeczy należałoby pomyśleć o powszechnem prawie wyborczem, a my tak żyliśmy się z kuryami! Dopóki zaś nie załatwi się sprawy z sejmową reformą wyborczą, ani myśli nie ma o reformie wyborczej do rad miejskich.

Zupełnie podobnie ma się rzecz z zaopatrzeniem miast naszych w mięso rumuńskie, o co agraryusze a za nimi ludowcy podnieśli taki lament, rzekomo w obronie zagrożonej swej egzystencyi. Wielkim agraryuszom ostatecznie się nie dziwię, lecz też mało ich jest u nas, niezrozumiałe jest natomiast kokietowanie z nimi ludowców, którzy od jakiegoś czasu postępują z konserwatystami ręka w rękę, aby c. k. rządowi nie robić trudności. Ma to być objawem wdzięczności za pomoc przy sanacyi banku parcelacyjnego, źle jednak pojętej i raczej szkodę przynoszącej ludności.

Rozpoczęto krzyczeć, że przez dopuszczenie w granice Galicyi mięsa rumuńskiego narazi się interesy rolników, gdyż bydło potanieje! Nasz włościanin, sprzedając raz na rok cielę lub jałówkę na zapłacenie podatków, nie poczuje wcale obniżenia ceny bydła, spowodowanego konkurencyą mięsa rumuńskiego, które przecież w tak małej ilości ma być sprowadzone do kraju, że nie może absolutnie wpłynąć na regulacyę cen krajowego bydła. Naturalnie i nasi rzeźnicy bardzo są z tego zadowoleni, bali się bowiem, że monopol obdzierania ludzi ze skóry wymknie się im z ręki. Jeśli więc tak dalej pójdzie, jak dotąd, rumuńskiego mięsa jeść nie będziemy, krajowe bydło utrzyma się w cenie, a co za tem idzie, mięso znowu podrożeje, tak, że na kawałek pieczeni będzie sobie z czasem mógł pozwolić chyba jaki hrabia lub bardzo gruby urzędnik. Tę sytuacyę mamy więc do zawdzięczenia po części i ludowcom, którzy popierają dążenia wielkich agraryuszy, a tem samem przyczyniają się do wygłodzenia ludności.

W miarę zaś, jak ceny wszystkiego idą w górę, podnoszą się i podatki wraz z sympatycznymi dodatkami i niczem ramiona polipa, dławią każdego mieszkańca nieszczęsnej Golicyi i Głodomeryi. Bo też przyznać trzeba, że nasze władze skarbowe z nadzwyczajną precyzyą zabierają się zawsze do wygniatania z nas soku koronnego i absolutnie nie darują ani centusia, by potem zyskać pochwałę władz centralnych, orderek lub tytulik. Wszelkie wysiłki i starania społeczeństwa, aby sprawę w ten sposób uregulować, by przecież wynaleźć jakiś *modus vivendi*, idą na marne, podatki rosną i rosną i to właśnie od artykułów niezbędnych do życia.

Nie chcę już wspominać o lichwie mieszkaniowej, spowodowanej przez naszych kamieniczników-spekulantów, a po części i przez władze skarbowe. Pan taki kupuje dom, a raczej przejmuje na siebie długi poprzedniego właściciela i natychmiast podnosi czynsze, aby przecież wytargować jak najwięcej. Z drugiej zaś strony władza podatkowa podejrzywa każdego kontrybuenta, że nie zeznaje prawdziwej fasyi i choćby nie wiedzieć na jakie przysięgał świętości, nie wierzy mu, twierdząc, że za takie a takie mieszkanie powinno się brać tyle a tyle. Naturalnie w ten sam sposób wymierza się podatek, to jest nie od podanej wartości mieszkania, ale od oszacowania go przez komisyę. Rzecz prosta, że gospodarze, nie chcąc się narazić na zarzut, że za nisko fasyonują mieszkania, choćby nawet tyle tylko czynszu pobierali, starają się, aby wziąć akurat tyle, by władza nie narzekała. A ty płać chłopie, jeżeli masz ochotę mieszkać!

Spodziewano się, że rozparcelowanie gruntów pofortyfikacyjnych, które według założenia przeznaczone są pod budowę domów dla klasy średnio zamożnej, stanie się regulatorem cen mieszkań, na razie jednak zawiedziono się na tem. Po pierwsze, grunta te potrzebują osuszenia, a to tak prędko nie nastąpi, po drugie zaś, dziś już różni opiekunowie ofiarują miastu ceny kilkakrotnie wyższe od wartości, aby tem samem odstraszyć mających chęć kupna, a nie posiadających tyle pieniędzy. Komisya, otrzymawszy tak pożądaną ofertę, odmówić musi wszystkim tym, którzy mniej obiecują, a czasem zaś, gdy nie będzie amatorów do kupna, zjawi się ów pan, który dziś ofiarował tak kolosalną cenę i kupi, ale nie według poprzedniej oferty, która dlań stała się już bezprzedmiotową. I znowu powstanie cały szereg domów, obliczonych tylko na interes, a stosunki nie poprawią się wcale, klika spekulantów nie pozwoli nawet miastu, gdyby chciało się zająć budową tanich domów.

Jedyna nadzieja, że człowiek zrobi jakiś mały interesik na koncesyach szynkarskich, o które każdy się obecnie stara, bojąc się, by go kto nie podbiegł. Potworzyły się nawet przedsiębiorstwa, starające się o wyrobienie konsensu, każące sobie dobrze płacić, a nic nie robiące i polujące na naiwnych, których u nas nigdy nie brakuje.

Na zakończenie smutne refleksye z okazyi daru Grunwaldzkiego, przeznaczonego na obronę kresów zachodnich przed zalewem prusactwa. Z ogłoszonego wykazu aż nadto widoczna nasza ospałość, zasługująca ze wszech miar na potępienie! Dotąd zdeklarowano zaledwie 1,300.850 koron, a na to wpłynęło gotówką 280.000! Cyfry same mówią za siebie! A tymczasem Niemcy zebrali na fundusz Rosseggera przeszło dwa miliony, a jako odpowiedź na obchód grunwaldzki proponują utworzenie funduszu tannenberskiego, któryby był przeznaczony na szerzenie germańskiej kultury na kresach wschodnich! Każdy zapał u nas przypomina słomiany ogień, gdy tymczasem oni potrafią każdą myśl konsekwentnie w czyn wprowadzić. Uczmy się od nich, jak postępować, a przestaniemy być pośmiewiskiem Europy, bo jak dziś rzeczy stoją, przypominamy owego chorego lwa, nad którym nawet osioł się znęcał...

X.

Przyszły szef okręgu skarbowego w Krakowie.

Opróżnione skutkiem zamianowania radcy dworu dr. Szlachtowskiego wiceprezydentem krajowej dyrekcyi skarbu, stanowisko dyrektora okręgu skarbowego w Krakowie, zająć ma w najbliższym czasie p. Stanisław Bilwin, starszy radca skarbu we Lwowie. Wiadomość o tem, podaną we wszystkich dziennikach, powitano z ogólnem zadowoleniem, radca Bilwin bowiem pozyskał sobie w czasie swej działalności we Lwowie zarówno jako urzędnik, jak i jako obywatel ogólną sympatyę.



Przyszły szef okręgu skarbowego w Krakowie: Starszy radca Stanisław Bilwin.

Człowiek w pełni sił, wybitnych zdolności, ogromnie pracowity, posuwał się szybko po szczeblach karyery urzędniczej, biorąc żywy udział w życiu publicznem i towarzyskiem stolicy. Lubiany i ceniony wśród szerokich kół obywatelstwa i mieszczaństwa lwowskiego, a przedewszystkiem wśród urzędników, wybrany został radnym miasta. Od szeregu lat piastuje też godność prezesa kasyna urzędniczego.

Nie ulega wątpliwości, że i w Krakowie, na nowem stanowisku, zdobędzie to samo uznanie i sympatyę.

Nowa placówka polskiej nauki.

Przed rokiem mniejwięcej powstała w Przemyślu nowa a silna placówka polskiej nauki i kultury, a to „Towarzystwo przyjaciół nauk“. Dzięki zapobiegliwości, skrzętności i zamiłowaniu przeszłości grona osób, głównie pp. Kazimierza i Tadeusza Osińskich, powstały cenne zbiory muzealne, archeologiczne i biblioteczno-archiwalne z całej ziemi przemyskiej, w tem około 3000 dzieł naukowych, 2000 aktów grodzkich i ziemskich z podpisami królów polskich, kasztelanów, hetmanów, regimentarzów, biskupów, około 1000 medali i monet, nadto mnóstwo pieczęci, broni, wykopalisk, sztychów, porcelany, map itd. Zbiory te dały początek nowemu ognisku naukowemu i młode towarzystwo postawiły odrazu w rzędzie poważnych instytucyi.

Na czele towarzystwa stoi jako prezes adwokat i były poseł dr. Leonard Tarnawski, kustoszem wybrano twórcę i inicyatora towarzystwa, architekta Kazimierza Osińskiego, taksatorem prof. F. Przyjemskiego. Lokal muzeum mieści się przy ul. Fredry.



Fot M. Todt, Przemyśl.

Nowa placówka nauki polskiej: Wnętrze muzeum Towarzystwa nauk w Przemyślu.

W ubiegłą niedzielę odbyła się uroczystość inauguracyjna Towarzystwa przyjaciół nauk, przy udziale obywatelstwa przemyskiego i zaproszonych gości. W sali ratuszowej, pięknie udekorowanej, zebrali się w południe członkowie towarzystwa, dygnitarze miejscowi, grono osób ze Lwowa i innych miast.

Otworzył uroczystość podniosłem przemówieniem prezes dr. L. Tarnawski, poczem przemawiali burmistrz dr. Doliński, prof. Srokowski z Tarnopola imieniem T. S. L. i ks. biskup Pelczar, na koniec odczytano mnóstwo depesz gratulacyjnych od pokrewnych instytucyi i wybitnych osobistości.



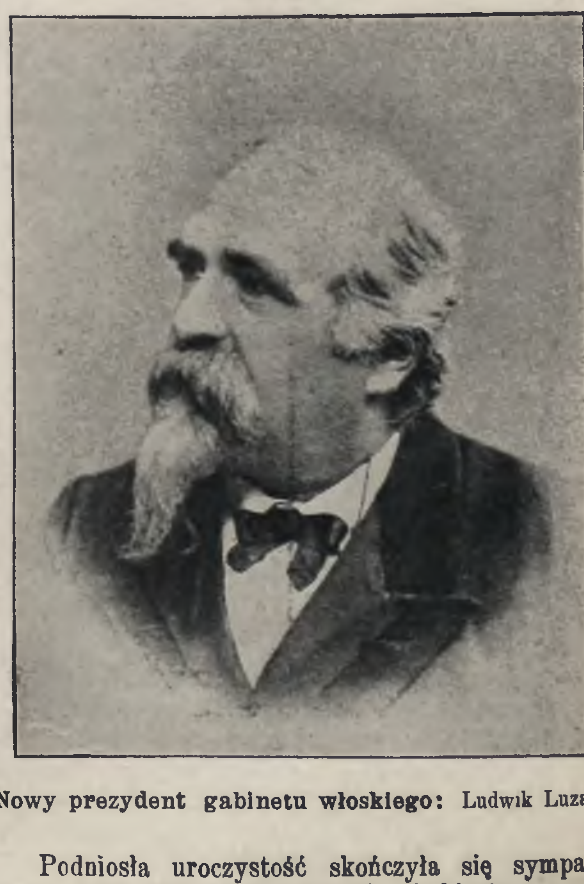
Nowa ofiara awiatyki: Hubert Le B'on.

Uroczystość klubowa.

Krakowski klub pocztowy obchodził w dniu 2 b. m. rzadką uroczystość. Towarzystwo postanowiło uczcić jednego ze swych najbardziej zasłużonych członków założycieli, Adama Młodzianowskiego. Ostatnie walne zgromadzenie klubu dało wymowny dowód uznania, jakiem p. Młodzianowski cieszy się wśród kolegów za swą pracę koło rozwoju Towarzystwa, mianując go jednogłośnie członkiem honorowym.

Uroczystość wręczenia dyplomu honorowego, wykonanego artystycznie przez artystę malarza Czerwenkę, a oprawionego gustownie w ramy w stylu gotyckim, odbyła się w salach klubowych w dniu 2 b. m. wobec radców rządu Bilińskiego i Dawidowskiego, dyrektora Gawackiego, nadzarządcy poczty Hićkiewicza z Bochni i Rudolfa, licznego grona zaproszonych gości i niemal wszystkich członków Towarzystwa z prezesem Smoleńskim na czele.

Na uroczystość nadeszło mnóstwo telegramów i listów gratulacyjnych od przyjaciół i kolegów, świadczących wymownie o sympatyi, jaką się cieszy p. Młodzianowski wśród kolegów zawodowych.



Nowy prezydent gabinetu włoskiego: Ludwik Luzatti.

Podniosła uroczystość skończyła się sympatycznem przemówieniem i wręczeniem bukietów nowemu członkowi honorowemu przez panie Christofori i Studzińską.

Po roku działalności.

W ubiegłym tygodniu upłynął rok od chwili objęcia przez Edmunda Rygiera dyrekcyi teatru ludowego w Krakowie. Rok ciężkiej, żmudnej, wytężającej pracy, rok ofiar, wysiłków i poświęcenia, uwieńczony jednak, mimo bardzo trudnych warunków, pięknymi wynikami. Dyrektor Rygier zdołał wreszcie stworzyć teatr popularny, przeznaczony dla szerokich sfer ludności miejskiej i spełniający doskonale swe zadanie.



Uroczystość klubowa: Adam Młodzianowski

Z szczegółowego sprawozdania, wygotowanego przez dyrekcyę, dowiadujemy się, że w ciągu jednorocznej działalności, dał teatr ludowy ogółem 376 przedstawień, z czego tragedyom i dramatom poświęcono 78 widowisk, komedyom i farsom 118, sztukom śpiewanym, wodewilom i operetce 156, operze komicznej 24. Sztuk oryginalnych było w tem 187, obcych 189. Repertuar więc, jak z tego widać, był bardzo ożywiony, a gdy się zważy, że poziom artystyczny przedstawień był przeważnie bardzo wysoki, że wystawie, dekoracyom i reżyseryi poświęcono wiele staranności, to łatwo zrozumieć, jak wielkie znaczenie kulturalne ma teatr ludowy w rozwoju Krakowa.

Oczywista rzecz, że frekwencya najlepiej dopisuje w dni świąteczne i niedzielne. W powszednie dni zapełniał się teatr na przedstawieniach operetek i fars, gorzej natomiast dopisywały sztuki poważne. Ale to wina nie dyrekcyi, lecz publiczności, która w teatrze woli śmiech, niż płacz. Ważną bardzo, może decydującą przeszkodą w szybszym i piękniejszym rozwoju teatru ludowego, jest brak odpowiedniego budynku, obecny bowiem, zamieniony w przybytek sztuki z ujeżdżalni, nie odpowiada swemu przeznaczeniu. Najusilniejsze starania dyrektora Rygiera i daleko idąca ofiarność jego, rozbijają się pod tym względem o opór pewnych sfer.

W składzie personalu teatru ludowego zaszły w ciągu roku dość znaczne zmiany. Od początku pracują pod kierunkiem dyr. Rygiera i należą do najwybitniejszych sił pp.: Grabowska, Gawlikowska, Kolmanówna i Zielińska, dalej Poleński, J. Rygier, Szkudelski, Turski. Z tych, którzy przybyli w czasie późniejszym, wybili się na czoło pp. Jarniński



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Nowa placówka nauki polskiej: Wnętrze muzeum Towarzystwa przyjaciół nauk w Przemyślu.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Nowa placówka nauki polskiej: Grono założycieli i wydział Towarzystwa przyjaciół nauk w Przemyślu, z prezesem dr. L. Tarnawskim (X) w pośrodku.

Szarkowski, a w operetce sympatyczna śpiewaczka pna Brzozowska.

Bardzo cenną siłą, wspierającą usiłowania dyr. Rygiera pod każdym względem, jest w teatrze ludowym sekretarz p. Wincenty Korolewicz.

okazało, nie po raz pierwszy bawił w Galicyi. W r. 1909 dłuższy czas przebywał we Lwowie, następnie Jaśle i Sanoku.

Pod zarzutem szpiegostwa aresztowała lwowska policya emigranta Mikołaja Semionowa, zamieszkałego od lat kilku we Lwowie i zatrudnionego w je-

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Szarada: Mandolina.
Łamigłówka: Stanisław Moniuszko.
Logogryf: Emilia Plater.
Arytmograf: Grażyna.



Uroczystość klubowa: Dyplom członka honorowego klubu urzędników poczt, wręczony p. Młodzianowskiemu.



Po roku działalności: Dyr. Edmund Rygier.

Aresztowanie szpiegów.

W Galicyi daje się zauważyć od dłuższego czasu gorączkowa akcya władz bezpieczeństwa publicznego,



Aresztowanie szpiegów: Piotr Kuzow.

wyławiających prawie że z każdym dniem coraz to nowych szpiegów wojskowych. Zaledwie przebrzmi echo aresztowania jednego szpiega, a już z innego zakątka kraju dochodzą wiadomości o nowych aresztowaniach.

Zaledwie przestano mówić o aresztowaniu znanego i zawodowego, bo już raz za wykradanie planów wojskowych karanego szpiega, Mieczysława Kuczmajewskiego, aresztowanego w Przemyślu w lutym b. r., aż oto znowu w pobliżu Sokala we wsi Bagranie Peretoki aresztowano Piotra Kuzowa w chwili, gdy przekroczył granicę. Plutonowy żandarmeryi p. Grochal, którego specyalnością jest śledzenie szpiegów, uwijających się często po okolicy, aresztował Kuzowa, który natychmiast przyznał się do szpiegostwa na rzecz obcego mocarstwa. Kuzow, jak się

dnem z tamtejszych biur technicznych. Przeprowadzona w jego domu rewizya dostarczyła wiele dla aresztowanego obciążających dowodów. Policya zabrała całą korespondencyę Siemionowa z wojskowymi przedstawicielami mocarstwa, na rzecz którego aresztowany szpiegostwo uprawiał, oraz liczne szkice, plany i pomiary techniczne, dokonane z tem większą dokładnością przez Siemionowa, że był on zawodowym rysownikiem.



Aresztowanie szpiegów: Mikołaj Siemionow.

Aczkolwiek Siemionow wypiera się winy, wojskowość stwierdziła, że plany, zwłaszcza z Podkarpacia, robione były wyłącznie dla celów wojskowych i szpiegowskich.

Obok zamieszczamy fotografie wszystkich trzech szpiegów.

Szarada: Karabin.
Szarada: Paragraf.
Zadanie do przestawienia: Pozna swój swego.
Rebus: Pokutuje często dziecko za rodziców winy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: W. Nowacki Chmielów, M. Haszczyc Żurawno, S. Myszka Krosno, H. Chodkiewicz Warszawa, K. Michałowicz Nisko, Z. Piechanowska Stary Sambor, D. K. Tatara San Genesio, W. Ossowski Warszawa, O. Górkowa Chyrów, A. Biliński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, W. Potocka Rzeszów, W. Cieplik Kraków, S. Dąbrowski Kraków, A. Pankowski Kraków, A. Trzeciak Kraków, K. Kaim Radziszów, S. Kowalówka Facimiech, W. Kowalówka Łososina, W. Sabatowicz Kraków, W. Budzianowska Buczacz, W. Trzcińska Lipica gorna, Z. de Boulangé Gawłówek, K. Stamirowski Skała, Cz. Lipiński Kraków, J. Wilczyński Stanisławów, M. Wojkowska Sambor, M. Lebiediew Warszawa, J. Bochniak Mokrzyszów, M. Malinowska Oświęcim, J. T. Iwaniński Tarnów, A. Bocson Bóbrka, K. Fuchs Czerem-



Aresztowanie szpiegów: Mieczysław Kuczmajewski.

chów, S. Ramoszyńska Tustanowice, M. Arbesbauer Lwów, E. Głogawski Lwów, M. Zabierzewska Kraków, W. Lewicka Czarna, S Faliszewski Baligród, J. Badura Rożdzień, Józefowie Siła Nowiecy Sądowa Wisznia, T. Macieliński Jabłonica, J. Lam Sambor, J. Wyka Kraków, M. Kostmanowicz Kołomyja, J. Pick Warszawa. J. Lisowski Kraków, K Miaskowski Płock, R. Konopacki Warszawa, K. Englisch Kraków, G Głuchowski Łódź, K. Pilecki Radom, A. Barbacki Lwów, W. Lech Kalisz, W. Lasociński Kraków, J. Niwicki Sanok, M. R doń Kołomyja, J. Pankowski Krosno, F. Frankowicz Podgórze, W. Thun Rzeszów, J. Jelonek Biliny, F. Boczarski Kraków, S. Sokołowski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Wilczyński Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

NADESŁANE.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

5

I nie czując, jak mu garson zarzuca futro na ramiona, wyszedł razem z młodym człowiekiem. Główny garson towarzyszył im z szacunkiem do drzwi z początku, potem odprowadził ich aż na ulicę. Gdy wsiedli już go samochodu i drzwiczki zatrzasły się za nimi, zapukał dyskretnie do okna. Piotr opuścił okno, mówiąc półgłosem:

— Nie uregulowaliśmy rachunku.

Garsoni, którzy podawali w gabinecie, patrzyli na nich zdaleka z zawiedzionemi minami. Miliarder domyślił się wreszcie o co chodzi. Wyjął z kieszeni portfel pełen banknotów i podał go kelnerowi, dodając na pożegnanie:

— Resztę proszę zatrzymać dla siebie.

III.

Piotr kazał wracać szoferowi do hotelu. Samochód pędził znowu przez Broadway. Lewis Jackson wysunął głowę przez okno i nie ruszał się. Silny i zimny wiatr chłodził mu rozpalone czoło i uspokajał naprężone jego nerwy. Gdy zajechali, miliarder odetchnął głęboko i rzekł:

— Teraz mi lepiej!...

Na progu hotelu Piotr zawahał się, nie wiedząc, czy ma iść za wujem, usłyszał jednak zwrócone do siebie słowa:

— Chodź ze mną.

Gdy wchodzili do salonu, apartamentu na dziewiątem więtrze, zjawił się przed nimi sekretarz business mana. Był to mężczyzna między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, wysoki, suchy, o twarzy koloru cegły. W ręku trzymał karty wizytowe:

— Oto osoby, które przychodziły w tym czasie — rzekł.

Nieobecność miliardera trwała tylko półtorej godziny, a przez ten czas sekretarz zebrał już piętnaście kart. Lewis Jackson jednak ani nie spojrzał, ani nie słuchał sekretarza, który mówił dalej:

— Sześć z tych osób przyjdzie później, a dziewięć czeka na dole.

Miliarder zrobił znaczący ruch, by go zostawiono w spokoju. Sekretarz domyślił się, że pan jego jest zajęty. Zajęty mógł on być jednak tylko jakąś sprawą, a ta sprawa nie mogła być ważniejszą od tej, o jakiej chciał z nim mówić jeden z przychodzących. Zaczął więc nalegać:

— Za godzinę będzie tutaj Walter Vanderbilt.

Lewis Jackson wziął w milczeniu te piętnaście kart wizytowych, otworzył okno i wyrzucił je na ulicę. Potem zamykając okno, dodał:

— Oto co zrobię z pierwszym, kto mi będzie przeszkadzał.

Sekretarz, nie odzywając się już ani słowem, znikł za drzwiami. Lewis Jackson przez chwilę chodził po pokoju. Ręce założył w tył, głowę opuścił ku ziemi i zdawało się, że uspokoił się już zupełnie, podnosząca się tylko ciągle pierś, świadczyła o wewnętrznem wzburzeniu. Zatrzymał się wreszcie przed Piotrem, podniósł głowę i rzekł głuchym głosem:

— Teraz, gdy owładnąłem już trochę sobą, posłuchaj mnie... Pojmiesz zaraz wszystko... Wiesz, że byłem żonaty?

— Wiem.

— Że poślubiłem młodą, ubogą pannę.

— Słyszałem od swego ojca, że było to małżeństwo z miłości.

— Tak, z miłości... A słyszałeś o tem, że żona mnie zdradziła?

— Mniej więcej.

— Lecz nie wiesz, w jaki sposób dowiedziałem się o jej niewierności?... Dzięki listom miłosnym, przysyłanym jej poste-restante!...

Piotr szepnął:

— Gdybym przypuszczał coś podobnego...

— Nie opowiadałbyś o tem, co tobie się przytrafiło?...

— Rozumiem teraz to wzruszenie...

— Nic jeszcze nie rozumiesz! Nie chodzi tu o wzruszenie, lecz o najstraszniejszą torturę moralną!

Lewis Jackson schwycił się przytem pełnym boleści ruchem za piersi, w których serce biło tak silnie, iż zdawało się, że chce je rozsadzić.

— Panie... wuju mój... szeptał z współczuciem młody człowiek.

— Pozwól mi dokończyć... Żona przysięgała mi na wszystto, że tych listów poste-restante nigdy ani nie otrzymywała, ani nawet nie widziała... Podpisane one były nazwiskiem Jan de Tourville i dotyczyły schadzek, obywanych w wynajętym pałacyku przy ulicy Alger... Pospieszyłem tam... Jan de Tourville przychodził tu tylko na rendez-vous... Mieszkanie jego było nieznanie... Nigdy nie mogłem go odnaleźć...

Piotr otworzył szeroko ze zdziwienia swe oczy.

— To znaczy — rzekł — że to wszystko co odbyło się z wujem w...

— W 1888 roku...

— Powtórzyło się dokładnie ze mną w 1907?...

— Dokładniej nawet, niż to sobie wyobrażasz...

— Dokładniej jeszcze?

— W miarę, jak mi podawałeś nowe szczegóły — ciągnął Lewis Jackson — co raz bardziej dziwiło mnie podobieństwo faktów, aż wreszcie zaczęło mnie to przerażać... Zastanowił mnie zwłaszcza ostatni szczegół... Do historyi twej wmieszani są Maksym Duret i jego siostrzenica!

— Tak!

— Byli oni również wmieszani i do mego, zupełnie podobnego dramatu z przed dwudziestu lat!

— To dziwne! — rzekł zdumiony Piotr.

— To straszne!

— Straszne?

— Tak, mój drogi! — zawołał Lewis Jackson, chwytając go za rękę i silnie nią wstrząsając. Taki zbieg okoliczności trudno tłómaczyć wypadkiem! Musiała tu być jakaś wstrętna machinacya, ofiarą której padła naprzód moja żona, a potem Ludwika Dubois.

Piotr stał się teraz tak blady jak i Amerykanin.

— Machinacya? — powtórzył bezdźwięcznym głosem. — Och! Ależ to byłoby za okrutne!

— Okrutniejsze nawet, niż sądzisz! Ty nie wiesz o tem, że znieważyłem Magdalenę...

— Magdalenę?

— Moją żonę... Znieważyłem ją, przekląłem i wypędziłem... Pojechałem do Stanów Zjednoczonych, zostawiając ją samą i bez żadnych środków do życia... Ona może była niewinną... Żyła całe lata w nędzy i rozpaczy...

Głos Lewisa stał się słabszym. Nie śmiał wyrazić głośno tego, o czem sama myśl go przerażała. Piotr zresztą nie słuchał go już wcale.

— Machinacya! — powtarzał młody człowiek. Ludwika nie dopuściła się tego, o co ją posądzono! A ja ją odepchnąłem, gdy wołała, że jest niewinną! Boże mój!

— Odepchnąłeś ją — rzekł Lewis Jackson. — Możesz jednak prosić jej o przebaczenie... Ona żyje jeszcze... Żona moja już umarła!

— Umarła! — zawołał Piotr, zapominając na chwilę o swem cierpieniu, wobec boleści tego nieszczęśliwego.

Usłyszał zaraz cichą odpowiedź Lewisa:

— Tak... Widziałem, jak umierała...

— Wuj więc powrócił do niej?

— Nie... Jawiła mi się...

— Jakto?

— Pewnego wieczoru byłem sam w parku swej willi w Los-Angelos, w Kaliforni. Szedłem przez aleję palmową... Nagle w ciemnościach ujrzałem przed sobą Magdalenę tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę... Zdawała się być wtedy w tym samym wieku, w jakim ją opuściłem i w sukni, jaką wtedy nosiła... Twarz jej jednak była przeźroczysta i oczy miała zamknięte. Naraz doznałem wrażenia, że w chwili tej właśnie we Francyi, o dwa tysiące kilometrów odemnie, umiera moja żona... Była to tak zwana halucynacya telepatyczna... Magdalena miała wtedy trzydzieści dziewięć lat...

Po chwilowej przerwie miliarder mówił dalej:

— Była jeszcze młodą... Niedostatek jednak i zmartwienia wyciskają na nas piętno... Kto wie, czy nie cierpiała głodu!... A ja miałem czterdzieści milionów renty i wydawałem dziennie sto tysięcy franków!...

Lewis Jackson zamilkł znowu. Zaczął chodzić szybko od jednego rogu salonu do drugiego, jak gdyby chciał umknąć przed swemi myślami.

Piotr starając się opanować i zebrać swe myśli, rzekł:

— Lecz jakiżby miał cel autor tych machinacyi?... Wiem natomiast, jaką korzyść odniosłyby niektóre osoby z zerwania mego stosunku z Ludwiką.

Miliarder zatrzymał się i popatrzył na Piotra, który mówił dalej:

— Jakiż jednak interes mieli w odrywaniu wuja od żony?

Przy tem ostatniem zdaniu w umyśle Lewisa Jacksona zjawiła się nowa myśl. Schwycił się za włosy i zapytał głosem pełnym hamowanej wściekłości:

— Kogo rozumiesz przez te niektóre osoby? Maksyma Dureta i jego siostrzenicę?

— Tak.

— A dlaczegóż pragnęliby oni zerwania związku twego z ich nauczycielką?

— Gdyż gdyby nie ona, to prawdopodobnie ożeniłbym się z Kamillą de Lagunan...

— Tak, to ten cel! — potwierdził Lewis Jackson. — Ten cel!

Jego zimna krew, którą odzyskał w czasie jazdy z restauracyi do hotelu, opuszczała go znowu. Załamywał rozpacznie ręce i drżał z gniewu. Nerwy zawładnęły w końcu jego wolą, gdyż zakrył sobie rękami twarz i rozpłakał się.

— Przebaczenia, Magdaleno! Och! przebacz mi!— wołał rozdzierającym głosem.

Potem, zwracając się do Piotra, rzekł urywanemi słowy:

— Zobaczysz zaraz... jaki interes miał Duret i jego siostrzenica... w rozłączaniu mnie z żoną... Ten interes... tak...

Wielki business man, który z niezwykłą szybkością i jasnością rozwijał najbardziej skomplikowane sprawy, nie mógł teraz przedstawić swej prostej historyi. Przerwał i rzekł po krótkiem milczeniu:

— Opowiem ci to wszystko na okręcie.

— Jakim okręcie? — zapytał Piotr.

— Na który wsiądziemy.

I przy słowach tych podszedł do dzwonka elektrycznego i nacisnął go naprzód raz, potem dwa razy.

W tej samej chwili ukazał się sekretarz i służący.

— Smith — rzekł business-man do sekretarza — musimy jak najprędzej jechać do Paryża... Jedzie

i ten pan... Kiedy możemy opuścić Nowy Jork... Proszę się o to dowiedzieć.

Wysoki suchy człowiek o ceglastej twarzy zrobił w milczeniu pół obrotu, by wyjść.

— Johnie — zwrócił się milioner do służącego— przygotujesz...

Nagła jakaś myśl zjawiła mu się w głowie, gdyż przerwał, popatrzył dokoła siebie i rzekł:

— Johnie, nie potrzebujesz już nic przygotowywać... Smith, proszę zapłacić Johna i dodać mu jako gratyfikacyę tysiąc dolarów wraz z pochwalnem świadectwem, które podpiszę...

Słowa Lewisa Jacksona były zawsze zarazem i jego rozkazami. Służący ani nie drgnął.

— Co zaś do miejsc na okręcie — mówił dalej miliarder do sekretarza — to zamówi pan trzy... Służącego nie biorę z sobą... Dla pana Cartelegue'a proszę zamówić cały apartament...

Wielkie okręty transatlantyckie mają dla wygody bogatych pasażerów oddzielne apartamenty składające się z kilku pokoi.

Piotr uczynił machinalnie ruch ręką na znak protestu...

— I proszę wziąć dwie kajuty dla nas — kończył miliarder — jedną pierwszej klasy i drugą drugiej klasy... To już wszystko!

Sekretarz i służący jak przyszli jednocześnie, tak i wyszli razem.

— Jedziemy do Paryża? — rzekł Piotr.

— Natychmiast... Trzeba wszystko odrazu wyjaśnić...

— Och! tak!... Zaraz!... Mój Boże, jak Ludwika musiała cierpieć, jeżeli jest niewinna! Jeżeli jej czułość, jej miłość nie są udane, ach! ten cios mógł złamać jej serce.

Lewis Jackson nie mówił już nic. Wkrótce i młody człowiek pogrążył się w swych myślach. W pięć minut później zjawił się znowu sekretarz. Powracał już z biura hotelowego, gdzie goście mogli nabywać dla siebie bilety kolejowe i okrętowe.

— Jedziemy za chwilę, o trzeciej godzinie na okręcie *Kaiser Wilhelm* — rzekł:

— *All right!* — zgodził się miljarder.

Opanował już siebie na tyle, iż twarz jego przybrała znowu maskę obojętności. Rysy twarzy pozostały zmarszczone, lecz były takiemi zawsze, wyrobione przez dwudziestoletnie życie pełne walk i wysiłków. Uścisnął Piotra za rękę i rzekł mu:

— Zobaczymy się za chwilę na okręcie.

Młody człowiek udał się natychmiast do hotelu, w którym się zatrzymał i stąd pojechał zaraz do przystani. Przybył tam właśnie na kilka chwil przed odjazdem okrętu. Pierwszem jego staraniem było odszukanie Lewisa Jacksona.

— Jest w swojej kajucie — poinformowano go.

— Gdzie ona się znajduje?

— W tyle... w *ober-deck*... numer 48 drugiej klasy.

— Drugiej?

— Tak, panie.

Piotr zdumiony udał się do wskazanego oddziału i zapukał do drzwi kajuty Nr 48..

— Proszę! — usłyszał wyraźny i metaliczny głos Jacksona.

Na środku kajuty klęczał na poduszkach miliarder i układał w niskim kufrze rzeczy.

Na widok młodego człowieka wstał i rzekł z prostotą:

— Ach, to ty!

Business-man odzyskał teraz już zupełnie swój flegmatyczny spokój, jaki wyrobił w sobie przez dwadzieścia lat pobytu w Ameryce.

— Zdaje mi się, że dziwi cię mój kostyum?— zapytał:

Miał na sobie zwyczajną czapkę, wartości najwyżej dwu franków, gumowy kołnierzyk i krawat z materyi imitującej jedwab. Zamiast dawnego futra z niebieskich lisów wisiało teraz na nim źle dopasowane i jakby już podniszczone palto. Spodnie i trzewiki odpowiadały reszcie ubrania.

— Nie pojmujesz, co znaczy mój strój — mówił miliarder — i kajuta drugiej klasy w której mam dwóch towarzyszy; a w dodatku jeden z nich, ogromny Bawarczyk zajmuje miejsca za trzech.

— Rzeczywiście... — przyznał się Piotr.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do rozwiązania.

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Pierwsze, drugie, są to ptaki
Często bez ognia
Drugie, czwarte wyjmij z wody
A niebawem skona.
Pierwsze, czwarte, imię, noszą
Mężczyźni, nie panie,
Całość jest to nazwa miasta,
Znajdziesz je w Paranie.

Szarada.

Ułożył T Kulpa, Korzelice.

Całość, to jest pierwsze, drugie,
Zwierz szybszy od konia,
Ma na głowie rogi długie,
Drugiem zwą nicponia.

Arytmograf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Cyfry i kwadraty zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko wybitnego czeskiego patryoty.

□
1 □ 2
3 4 □ 4 5
6 7 □ 8 9
10 7 11 □ 12 13 7
18 4 14 □ 2 7 15
12 16 □ 10 7
17 15 □ 2 18
4 □ 8
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Przyjaciel Mickiewicza. 3 Zaszczyt. 4. Przywódca w wojnie religijnej w Egipcie 5. Unieważnienie wyroku sądowego. 6. Dziennik paryski. 7. Sztuka J. A. Babickiego. 8. Nasyp pod kolej żelazną. 9. Wykrzyknik. 10. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył A. K. Kraków.

Początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko polskiego bohatera z wojen szwedzkich.

— romota
— eresa
— sterka
— oryś
— nanas
— iagara
— zeremosz
— aporoże
— ntwerpia
— uryk
— astor
— nflanty
— atonia
— ietrzew
— air
— maginacya

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
a, a, b, d, d, d, e, e, e, g, g, i, j, j, j, n, n, o, o, r. u, u, u, u, z, z.

Łamigłówka.

Ułożyła W. Budzianowska, Buczacz.

Następujące wyrazy podpisać tak pod sobą, by dwa, obok siebie rzędy, czytane z góry na dół, dały nam imiona bohaterów jednej z tragedyi Szekspira.
Heine, Mirjam, Hamlet, Rouen, Thoas.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Jasienicki, Małkowice.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Soła, m, wołowy, e, car, wór, m, pole, bal, w, wiec.

Kwadrat magiczny.

Ułożył N. N. Kraków.

Kwadraty zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z dołu do góry, dadzą nam tytuł utworu Szekspira.

— — — — — — — □
— — — — — — □ —
— — — — — □ — —
— — — — □ — — —
— — — □ — — — —
— — □ — — — — —
— □ — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Znany bajkopisarz. 2. Nóż myśliwski. 3 Imię żeńskie 4. Schowek na papiery. 5. Rodzaj wodnej rośliny. 6. Kolor. 7. Posiedzenie sądowe. 8. Dramat Szekspira.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Ambrożego Grabowskiego:* **Wspomnienia,** wydał S. Estreicher. 2. tomy z illustracyami.

…luzy, Halki, Czapki sportowe, Woale gazowe, Welonki, Szale jedwabne i koronkowe, Rękawiczki, Pióra …rusie, Żaboty, Krawaty, Kołnierze, Hafty szwajcarskie, Koronki, Wstążki, Paski, Pończochy, Materye …dwabne, Krepiny, Aplikacye, Tiule na bluzy. Taśmy, guziki oraz przybory do szycia domowego. Perfumy Mydła. ⊙ Ceny niskie bez konkurencyi. ⊙ Zamówienia listowne odwrotne. ⊙ Uwaga: W niedziele i święta magazyn zamknięty.

POLECA **Zygmunt Ślimakowski** Kraków, Linia A-B. obok głównej Trafiki.

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE, ULICA GRODZKA L. 2

Živnostenska Banka pro Čechy a Moravu v Praze.

Bank Przemysłowy dla Czech i Morawii w Pradze.

FILIE: w Krakowie, Lwowie, Wiedniu, Bernie, Prościejowie, Pilźnie, Budziejowicach, Pardubicach, Taborze, Mor. Ostrawie, Tryeście i Ołomuńcu.

Rok założenia 1868.

Wpłacony kapitał akcyjny Koron 40,000.000·—

Fundusze rezerwowe i ubezpieczające około Koron 12,000.000·—

Stan wkładek na książeczki wkładkowe z końcem marca 1910 roku

Kor. 110,534.730·78

Filia w Krakowie, Rynek Gł. 17. przyjmuje wkładki na książeczki za oprocentowaniem po 4% wypłaca dziennie bez wypowiedzenia, do K. 5000. większe kwoty za zezwoleniem Dyrekcyi w godzinach przedpołudniowych.

Filia kupuje i sprzedaje papiery wartościowe, udziela na nie zaliczek, wydaje przekazy na wszystkie znaczniejsze miejscowości kraju i zagranicy oraz na Amerykę.

Wielkie mody

na kostyumy damskie i suknie są: jedno barwne materye Panama, angielskie melé, krepony, jedwabne popeliny, jednokolorowe i deseniowe woale, jak również płótna na suknie w rypsie, otomanie i panama i przepięknie deseniowane batysty i zefiry.

Niech żadna z Pań nie zaniedba zażądać przed zakupnem potrzebnych na sezon wiosenny i letni, naszej bogato skompletowanej

kollekcyi wzorów materyi

jak również wspaniałych

illustrow. żurnali mód

Przesyłka nastąpi

bezpłatnie i opłacona.

Wybór, jakość i taniość bez konkurencyi

Grand Magasin „Au prix fixe“

Wien I., Graben 15/5.

Kammer & Schlesinger, Wejście: Habsburgergasse 1.

Półtora miljona Koron

płacimy co roku obcym fabrykantom za liche bibułki cygaretowe. Każą nam palić bibułki przeźroczyste, łudząc tem, że są cienkie a więc dobre. To nieprawda! Tylko bibułka nieprzeźroczysta, bez sztucznej a szkodliwej zaprawy, może być w paleniu smaczną.

Wszystkim palącym kręcone papierosy, polecam najnowszy mój wyrób **Bibułek cygaretowych:**

POBUDKA.

Bibułka moja nie jest sztucznie zaprawianą więc niechaj nikt nie zraża się tem, że nie jest przeźroczystą. — W paleniu za to — jest bardzo przyjemną, a dym posiada chłodny i niegryzący.

POBUDKA w opakow. patentowem 6 hal.
„ w cpasce . . . . 4 „

Żądajcie próbek, które chętnie darmo i opłatnie wysyłam.

Fabryka tutek i bibułek cygaretowych

Mr. W. Bełdowski

KRAKÓW, STAROWIŚLNA 26.

—• W trafikach odrzucajcie obce wyroby a żądajcie naszych. •—

Restauracya

pod firmą **A. SUSKI,** Plac Dominikański pod kierownictwem **Stan. Wołkowskiego**

Bufet obficie zaopatrzony. **PIWO** Pilzneńskie, Bawarskie i Okocimskie.

Potrawy sporządzane tylko na świeżem maśle.

Pierwszorzędna Pracownia **SUKIEN MĘSKICH**

Leona Grabowskiego

Materyały i krój angielski

właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**

Wykończenie artystyczne.

w Krakowie. ulica Szpitalna L. 36. — Telefon Nr. 561.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie